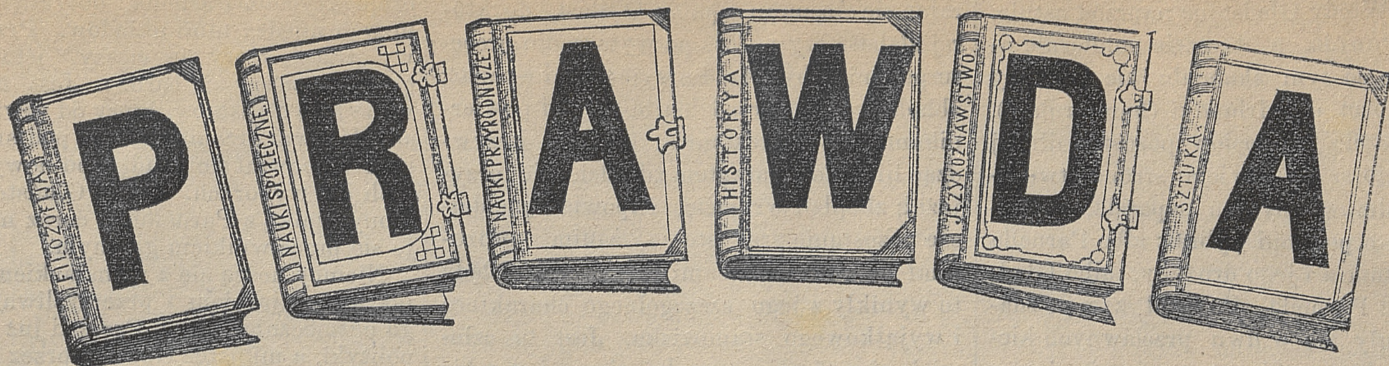
Nr. 49. Warszawa, dnia 6 Grudnia (24 Listopada) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Z rokiem obecnym **Prawda** kończy dziesięciolecie swego istnienia. Podjęta bez żadnego kapitału ze strony wydawcy, utrzymująca się jedynie nakładem swych abonentów, napadana często potwarzą lub nieżyczliwością a niekorzystająca z usług reklamy kartelu dziennikarskiego, działająca w możliwie najcięższych warunkach otoczenia, dowiodła chyba, że w potrzebach umysłowych swego koła czytelniczego posiada dostateczną podstawę, a w swej istocie dostateczną żywotność. Przeświadczeni o tem, poprowadzimy pismo nasze dalej tą samą drogą, która była dotychczas jego kierunkiem i z której ono nie zboczyło nigdy. Rozwija się wiedza, rozwija się twórczość, rozwijają się stosunki społeczne, więc i organ, który z tych źródeł pierwiastki swego życia czerpie, musi również podlegać rozwojowi. Ale te godła, które były znamionami jego chrztu publicystycznego, pozostały i pozostaną niezatarte, niezmiennie dla nas święte.

Robimy to, co nam wskazują środki dostarczone przez naszych nakładców-prenumeratorów. Obecny ich zastęp nie pozwala ani na zwiększenie dodatków, ani na rozszerzenie ram **Prawdy**, więc wychodzić ona będzie w dotychczasowym rozmiarze. W dodatku kwartalnym, obok dokończenia *Historyi Rewolucyi francuskiej*, rozpoczynamy druk dzieła K. Letourneau

Rozwój moralności,

po którem nastąpią prace Brandesa, Romanesa, Taine'a i innych.

POLITYKA.

UPADEK PARNELLA.

Wielcy ludzie, którzy ze swej drogi usuwają góry i przełamują najmocniejsze zapory, bardzo często upadają, potknąwszy się o najzwyczajniejszy kij, rzucony im pod nogi. Kto przypuszczał, że Bismark, który zjednoczył Niemcy i przez ćwierć wieku był ich półbogiem, ustąpi ze swego stanowiska wskutek odmiennego poglądu na zależność ministrów od ich prezesa! Kto przypuszczał, że „niekoronowany król" Irlandyi, wszechwładny jej przywódca i bałwochwalczo czczone bożyszcze, że Parnell utraci cały swój wpływ, urok, znaczenie przez spór z mizernym kapitanem O'Shea! A przecież tak się stało lub stanie. Ponieważ do tej sprawy osobistej nawiązano nici polityczne, a zasady uczciwości splotły się w niej z tkaniną obłudy, więc warto rozpatrzeć oryginalną tragikomedyę.

Parnell od lat 12 żył w blizkim stosunku z panią O'Shea, o czem wiedział zarówno jej mąż, jako też bliższe i dalsze ich otoczenie, nie wyłączając Gladstone'a. Ten i ów mógł się na tę miłość, czy miłostkę, krzywić, ale nikt nie pomyślał jej zapisywać do wykroczeń służby publicznej Parnella. Pewnego dnia obrażony w swym cierpliwym i tak długo pobłażliwym „honorze" mąż składa przed sądem swe rogi małżeńskie i żąda orzeczenia rozwodu z winy żony. Co w nim obudziło tę spóźnioną wrażliwość — nie wiadomo; prawdopodobnie to samo, co skłoniło Pigotta do sfałszowania listów Parnella, mających udowodnić jego udział w dwu morderstwach politycznych. Oskarżony kochanek do sądu się nie stawił, a interesowanym i przyjaciołom oświadczył, że jest to niecna przeciw niemu intryga, z której on wyjdzie tak niewinnym i tryumfującym, jak w procesie z *Timesem*. Tymczasem świadkowie stwierdzili jego pozycie

z panią O'Shea, którą też rozwiedziono z mężem. Wtedy Gladstone naprzód ustnie, później listownie, a wreszcie publicznie oznajmił, że po tym skandalu nie mógłby bronić reform dla Irlandyi (home-rule'u), gdyby na czele jej posłów pozostał dłużej Parnell, zgorszone bowiem stronnictwo liberalne odmówiłoby mu poparcia; irlandczycy przeto powinni wybrać: albo Parnella bez Gladstone'a i jego drużyny, albo Gladstone'a bez Parnella. Powstał zamęt, zdania rozbiegły się w dwu przeciwnych kierunkach, ale powoli coraz więcej głosów zaczęło padać na szalę przywódcy whigów, któremu przybyła na pomoc w tej walce nietylko prawie cała prasa angielska, ale także liczna grupa posłów irlandzkich i całe ich duchowieństwo. Osaczony i zewsząd ostrzeliwany lew nie poddał się, lecz ryknął gniewnie. Wydał on manifest, w którym, pomijając zupełnie kwestyę swego związku z panią O'Shea, zapowiada, że buławy hetmańskiej nie złoży, gdyż wtedy poddałby posłów irlandzkich pod komendę liberałów angielskich, którzy ich zdradzą i nigdy szczerze popierać nie myśleli, których przywódca postąpił niegodziwie i wyzyskał sposobność do ugodzenia w mniemanego sojusznika, a właściwie wroga. Według niego, Gladstone nie żywił rzetelnej chęci przeprowadzenia home-rule'u w Irlandyi, a obecnie spadła mu maska.

Po tym manifeście niema już mowy o zgodzie: upór stanął przeciw uporowi i oba ani na krok się nie cofną.

Irlandczycy mają rzeczywiście do rozwiązania zadanie trudne: z jednej strony nie chcieliby wyrzec się a pośrednio zgnębić wielkiego człowieka, któremu ich ojczyzna zawdzięcza prawie wszystkie zdobycze, jakie pozyskała w walce z Anglią podczas ostatnich lat 15; z drugiej — obawiają się rozbratu z Gladstonem i liberałami, którzy, wbrew niesłusznemu twierdzeniu Parnella, złożyli im wiele dowodów szczerej przyjaźni i stanowią bardzo cennych sprzymierzeńców. Bez pomocy gladstonistów żaden bill korzystny dla Irlandyi w Izbie nie przejdzie. Do tego dodać trzeba niezaprzeczone grzechy Parnella. Zbłądził on, wypierając się stosunku z panią O'Shea, do której słabość czy miłość po wytoczeniu procesu powinien był przed przyjaciołmi wyznać; zbłądził, tając przed najbliższymi powiernikami list Gladstone'a; zbłądził, krzywdząc liberałów zarzutem zdradzieckiej przyjaźni; zbłądził wreszcie, zapowiadając dalsze pozostanie przy sterze, zanim porozumiał się z towarzyszami i narodem. Błędy te wynikły z jego szczególnego charakteru i wyjątkowego stanowiska. Jest to człowiek niezmiernie twardy, zimny i w sobie zamknięty. Będąc sam lordem, protestantem i anglikiem, zahypnotyzował naród chłopów, katolików i celtów, przywykł więc uważać go za swoje wielkie medium i rozwinął w sobie popędy dyktatora. Te właściwości, które mu wybornie służyły jako wodzowi „bez zarzutu,“ mogą teraz go zgubić jako polityka. Że w tym jego upadku najgłośniej wrzeszczy i krokodyle łzy leje obłuda, która okrywa swem skrzydłem „znieważoną moralność“ — zaledwie potrzebujemy wskazywać. Sam Gladstone odegrał potroszę rolę oburzonego świętoszka, a cóż dopiero mówić o pruderyi angielskiej, radej, że dostrzegła piętę Achillesa, w którą mierzy ciągle zatrutemi strzałami!

Bądź co bądź jest to jeden z najcharakterystyczniejszych widoków naszego czasu: wielki bohater narodu dostaje dymisyę za to, że romansował z mężatką, która zresztą dziś jest rozwódką i najprawniej poślubić go może. A gdzież poczciwi ludziska jeszcze nie zajrzeli, rewidując ludzi, którzy im życie swoje poświęcili! Trudno nie zatrząść się wstrętem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stan niepewności w sprawie Parnella trwa ciągle: za usunięciem go z przywództwa oświadczyli się także wpływowi członkowie ligi irlandzkiej, przebywający w Ameryce oraz wyższe duchowieństwo, natomiast lud i mieszczaństwo stoją ciągle przy nim. Na jego „manifest“ Gladstone odpowiedział również „manifestem,“ w którym zaprzecza odkryciom Parnella, dotyczącym tajemnych między nimi układów. Przysłowiowy „trzeci, który się cieszy,“ istotnie z tego sporu cieszy się bardzo. Jest to mianowicie lord Salisbury, który od pewnego czasu odczuwał drżenie gruntu pod swemi nogami i obawiał się upadku po nowych, bliskich już wyborach. Teraz Gladstone, osłabiony walką z Parnellem, coraz mniej staje się przeciwnikiem groźnym.

Niemcy noszą się z wynalazkiem Kocha, jak kura z jajkiem i przemyśliwają, gdzie go bezpiecznie złożyć. Przeszli już z nim do polityki, a minister Gossler przez kilka godzin prawił o nim w sejmie pruskim. Zapowiedział on wzniesienie wspaniałego instytutu ze środków rządowych dla wyrabiania i stosowania limfy. Minister nie potwierdził tego, że jej tajemnica ma pozostać w wyłącznem posiadaniu tego zakładu i niemców, ale to samolubne pragnienie nie przestaje się odzywać w opinii publicznej. Gdyby je spełniono, byłoby jednem z największych paskudztw w dziejach nauki. Nie uszlachetniłyby go żadne upiększenia; dbałość o rzetelny i czysty wyrób lekarstwa, o zapobieganie fałszerstwom, o ścisłość w badaniach itd. Brzydkie szydło egoizmu wylazłoby z haftowanego worka.

Z okrytego nietykalnością bagna gospodarki Bismarkowskiej oswobodzone ręce wydobywają coraz świeży szlam. Szczerze i ciągle nienawidząca go *Freis. Zeitung* wykryła, że minister rolnictwa, Lucius, ustanawiając fideikomis w swym majątku, oszacowanym na 8 milionów marek, za wpływem kanclerza został zwolniony od opłaty stemplowej, która wynosiła przeszło milion. Bismark, odpierając zarzut, oświadczył, że tej łaski doznał nie sam Lucius. gdyż ona była „regułą“ dla pewnych osób, Wtedy przypomniano sobie, że i on z tej reguły skorzystał.

Delegaci niemieccy przybyli już do Wiednia i rozpoczęli obrady nad układem celnym, który ma połączyć Austryę z Niemcami węzłem ścisłej spółki ekonomiczno-politycznej. Około tego wszakże radzącego grona uwijają się ciągle złowróżbne ptaki, które ostrzegają austryaków: „bójcie się greków nawet dary niosących.“

Jakiego wreszcie losu dozna ugoda czesko-niemiecka, przepowiedzieć trudno, ale chyba jeszcze trudniej, kiedy skończą się awantury i skandale między staro i młodoczechami, wywoływane tą sprawą. Przywódcy obu stronnictw lżą się jak furmani na wązkiej drodze. Znowu Waszaty zwy-

---

3)

OKSANA

SZKIC SIELANKOWY,

napisał

Włodzimierz Wysocki.

VIII.

Dnia drugiego znów się puszczam
W małem czółnie na wycieczkę,
Upór złamać chcąc dziewczęcia
Wiozę śliczną jej chusteczkę.
Sam kupiłem ją w sklepiku,
Gdzie sprzedają się bławaty;
Na zielonem tle pąsowe
I złociste miała kwiaty,
Przytem była frędzlą sutą
Otoczona ta pokusa.
Jak obaczy — pomyślałem —
Nie udmówi mi całusa.
Wyszła ku mnie bez uśmiechu,
Dziwnie smutna: w twarzy bladej
Miała wyraz zamyślenia,
Bezsenności może ślady...
— Saniu, ty się gniewasz na mnie,
Choć nie czuję żadnej winy;
Patrz: przywiozłem ci tę chustkę,
Przyjmij ją na przeprosiny.
No, nie gniewaj się, nie dąsaj,
Nie bądź ze mną dzika taka
I choć jeden raz pocałuj!
Cóż ci szkodzi dać buziaka?
Ogarnęła mię spojrzeniem
Takiem długiem, nieruchomem,
Że uczułem, jak poczyna
Moja twarz się palić sromem.
— Nie, nie takam ja, paniczu,
Jak myślicie o mnie może!
Grzech i wstyd wam mnie sierotę
Chcieć uwodzić na bezdroże!
Niedaremnie ojciec stary
Tak nie lubi was, panowie,
Nic nie widząc prócz obłudy
W każdym czynie waszym, słowie...
Wy, paniczu, może inni,
Sumienniejsi, lepsi trocha,
Jednak miłość wasza ku mnie
To rozrywka jeno płocha,
To zabawka na dni kilka!
Poigracie i rzucicie,
A mnie tylko hańba po was,
Tylko wstyd na całe życie!
Nie wy dla mnie mąż „sądzony,“
Ni ja dla was godna żona:
Poszukajcie żony sobie
Wśród panienek wyższych grona,
A nie krzywdźcie mojej cnoty,
Pożałujcie mnie ubogą
I zostawcie... ja nie dla was!
Idźcie sobie swoją drogą.“
Powiedziawszy to, Oksana
Zlekka mi kiwnęła główką
I uciekła. Posłyszałem,
Jak zamknęła drzwi zasuwką...

IX.

Kilka dni przebyłem potem
W ciągłej uczuć zawierusze:
Wciąż rozsądek mi doradzał,
Że się z Sanią rozstać muszę;
Ale serce z nim zaciętą,
Uporczywą wiodło kłótnię;
Ten krzyk serca nieustanny
Trapił, męczył mię okrutnie,
I na chwilę z myślą o niej

myślał Riegera, znowu zięć ostatniego zażądał pojedynku. Być może, iż po otwarciu posiedzeń Rady państwa i po przeprowadzeniu zapaśników na grunt bardziej neutralny, te bójki słowne i ręczne chwilowo się przerwą.

Ale dla hr. Taaffego zacznie się ciężka praca siedzenia na kilku stołkach i utrzymywania równowagi. Jeszcze raz słychać głosy, że upadnie, pamiętać wszakże trzeba, że ministrowie austryaccy bardziej opierają się o tron, niż o Izbę.

Jedną i drugą podporę posiada obecnie Crispi. Ma on w Izbie większość, z którą może lekceważyć wszystkie ataki opozycyi.

SPRAWY EKONOMICZNE.

STAN OBECNY EKONOMII POLITYCZNEJ W ANGLII.

Anglia pod wielu względami przedstawia dzisiaj ciekawy widok. Walkę pracy z kapitałem, o ile ona kroczy drogą dotychczasowego trade-unionizmu i wyłania urządzenia w rodzaju *joint-committee*, uznano wprost za istotną podwalinę istniejącego porządku rzeczy, podczas kiedy same trade-uniony zwracają się zwolna w innym kierunku. „Warcholstwo lądowe,“ o którem mówiono z przekąsem, że jest *waste of time* (stratą czasu), odkąd jego przedstawiciele zorganizowali pierwsze związki wśród najmitów niefachowych, zyskuje u warstwy robotniczej coraz więcej zwolenników, jak to wykazuje ostatni zjazd trade-unionów w Liverpoolu (1890) i co więcej, staje się *businesslike*. Zachowawcy społeczni usiłują przeciwstawić ukazującym się prądom kooperacyę. Inteligencya znowu kraju urządza swego rodzaju pielgrzymkę do ludu, zakłada klasztory społeczne i pałace pracy, aby namacalnie przekonać nędzarzy Londynu, o których dotychczas nie chciała słyszeć, że wszelkie antagonizmy społeczne i wyzyski klasowe są wymysłem ludzi złej woli... Chcemy rozejrzeć się nieco w tym kalejdoskopie społecznym, naturalnie o ile można mu się przyjrzeć z daleka na podstawie opisów i sprawozdań. Zaczniemy od przełomu, który daje się zauważyć dzisiaj wśród ekonomii politycznej *).

*) Fakty, tylko fakty czerpiemy z pracy Ingrama, oraz z rozprawy Cohna, drukowanej w *Jahrbuch für Gesetzgebung Verwaltung und Volkswirthschaft* Schmollera.

Na Anglii przewybornie sprawdza się pogląd, że ekonomia polityczna jest przedewszystkiem szermierką adwokacką. Sam system jej, znany pod nazwą: *laissez faire*, tak zawzięcie broniony przez anglików i narzucany przez nich każdemu, jako niewątpliwa prawda naukowa, jest w gruncie rzeczy jedynie słownem wypowiedzeniem najistotniejszych interesów kapitalizmu angielskiego. Przemysł wielkobrytański panuje niemal bez współzawodników na rynku wszechświatowym i pragnąłby utrwalić na zawsze ten stan rzeczy, w którym Anglia jedynie wyrabiałaby produkty fabryczne, inne zaś kraje dostarczały surowców i służyły za miejsce zbytu. Wolna konkurencya i wolny handel są w tym razie najodpowiedniejszemi hasłami. Z drugiej strony kapitalizm innych krajów, powstrzymywany w swym rozwoju przez tego potężnego współzawodnika, zaczyna występować z „naukową“ krytyką „jednostronności“ ekonomistów angielskich i wyszukiwać słabe strony w zasadzie *laissez faire*. Z tego punktu widzenia można zrozumieć, dlaczego w Niemczech ukazali się teoretycy w rodzaju Lista i szkoły historycznej i czemu w Anglii trzymano się dawnej bezwzględności z całą mocą — aż do ostatnich czasów. Bagehotowi udało się powiedzieć wyśmienite zdanie, że ekonomia polityczna jest *science of business*, „wiedzą interesu i o interesie“ — angielska więc musiała być wolnohandlową. Lecz była ona obronicielką interesu jeszcze w innem znaczeniu — interesu kapitału w jego stosunku do pracy. Twierdzono, że „interes“ każdej jednostki wymaga, aby była swobodna i działała samowolnie. Jedynie wolna i nieprzymuszona umowa prawna powinna być podstawą stosunku ekonomicznego. Że umowa ta będzie wodą na młyn silniejszy, tego nie uwzględniano. Państwu naturalnie wyznaczono rolę nocnego stróża. Samo z siebie rozumie się, że wszystkie życzenia lub stosunki obwieszczono za prawa naturalne, wieczne, niewzruszone wszelkiego „normalnego“ porządku społecznego.

Walka przeciwko temu wyrobionemu systemowi zasad rozpoczyna się w Anglii dość wcześnie, lecz bezskutecznie do ostatniej chwili. Przedewszystkiem warstwa robotnicza, w miarę swojego rozwoju, zaczyna poddawać krytyce różne twierdzenia, zwłaszcza zaś kwestyę zarobku. Czartyści wyłaniają całą literaturę w postaci broszur i ulotnych rozpraw, w której ostro napadają na urzędową ekonomię. Życie samo, zniewalając władze angielskie do prawodawstwa fabrycznego, zadaje cios teoretycznym wywodom „nauki o interesie.“ Z czasem powstają silne organizacye Trade-Unionów, które mocą przebojem zdobywać sobie prawo obywatelstwa. Naturalnie, ekonomia urzędowa jest przeciwko nim. Jedynie pomiędzy angielskimi zwolennikami Comte'a znajdują one obrońców. Harrison w ciągu lat 20 walczy za rozszerzenie praw związków robotniczych i przeciw zasadzie teoretycznej zarobków. Crompton idzie jego drogą. Jednocześnie sam trade-unionizm rodzi własnych teoretyków i szermierzy, z pośród których najwybitniejszymi są w ostatnich czasach Wright i Howell. Lecz cały ten odłam, zarówno comtyści, jak i wodzowie związkowców, stoi na gruncie tegoczesnego porządku społecznego. Zasadnicze ich twierdzenie brzmi, że prawo żelazne płacy jest tylko urojeniem ekonomii urzędowej, że w ramach istniejącego społeczeństwa może ono zostać przełamane, jeśli warstwa najemicka będzie odpowiednio zorganizowana, że walka pomiędzy pracą, a kapitałem istnieje, lecz z chwilą, kiedy obie strony będą zorganizowane, zamiast wojny strejkowej nastanie okres sądów rozjemczych i wzajemnego porozumiewania się. „Inductrial consiliation,“ „industrial peace,“ nazwy te, powołane do życia przez ową grupę, świadczą najlepiej o jej dążnościach. Ona też to wykazała teoretycznie, że tradeunionizm może stać się podwaliną istniejącego w Anglii porządku rzeczy i dzisiejsza walka w łonie warstwy robotniczej toczy się głównie pomiędzy tymi teoretykami, a społeczno-demokracyą. Wreszcie w osobie I. K. Ingrama comtyści wysunęli krytyka, który poważył się napaść na całokształt ekonomii urzędowej, takiej, jaka się ukształtowała od Rikarda do Milla. Zarzuty jego dotyczą nadmiernego stosowania dedukcyi, bezwzględnego znaczenia nadawanego zasadom i wskazówkom teoretycznym, charakteru metafizycznego wielu pojęć, lecz przedewszystkiem tego, że dawna szkoła wydziela zjawiska ekonomiczne od wszystkich innych i rozpatruje je w takiem sztucznem wyodrębnieniu. Zresztą na Ingramie znać silnie wpływ nowoczesnych kierunków ekonomicznych, znanych w Niemczech pod nazwami etycznego, historycznego, socyalistyczno - katedralnego. (Zauważymy tu, że zapowiedziano przekład na język polski najważniejszej pracy Ingrama, wydanej zresztą dopiero w 1888). Wreszcie comtyści ocenili po raz pierwszy i wystąpili w obronie Ruskina i walki „ucziwa przeciw nauce,“ zlewając się w ten

---

Nie potrafiłbym się rozstać:
W dzień i w nocy przed oczyma
Stała jej powabna postać!
Czułem, jak mi wola słabnie,
Chwiejna niby morska fala;
— „Choć raz jeszcze tam popłynę,
Tylko spojrzę na nią zdala,
Choć raz!.. potem pod popiołem
Zgaśnij serce!..“

Popłynąłem.

X.

Pomnę—dzień był bezsłoneczny,
Duszny — i mżył deszcz drobniutki,
Gdym dopłynął do ustronia
I wysiadłem ze swej łódki,
Pusto było koło chaty,
Ni rybaka, ni Oksany,
Tylko z wnętrza dochodziły
Ciche tony piosnki znanej:
Posłyszałem: „Hore meni!
Hore, neszczastnaja dola!
Poorała diwczynońka
Myśłońkamy pola...“
Zawahałem się na chwilę:
Wejść czy nie wejść? Wśród wahania
Wszedłem prawie mimowolnie.
W izbie była tylko Sania.
Nie spostrzegły wejścia mego,
Przędła w kądziel zapatrzona,
Nucąc piosnkę swoją dalej,
Której wtórzył szmer wrzeciona.
Aż krzyknęła, gdym ukradkiem
Cicho przy niej siadł na ławie,
Wnet porwała się by uciec;
Gwałtem ją wstrzymałem prawie,
Otoczywszy ramionami.
I szeptałem: Dziewczę drogie!
Przebacz mi, że znów przychodzę,
Lecz przysięgam, że nie mogę,
Ach, nie mogę żyć bez ciebie!
Wierz mi, Saniu—dnie i noce
W takiej trapię się męczarni,
Że już chyba łeb zdruzgocę,
Lub się w nurty rzucę głową...
Ach, nie żądaj już ode mnie,
Bym porzucił cię, zapomniał;
To nad siły!.. Nadaremnie
Trzy dni walczę z sercem własnem—
Jam bezsilny przed przemocą
Twoich czarów, wdzięków twoich!
Pocóż mię odpychasz, po co?
Długo, długo tak mówiłem,
Coraz żywiej i namiętniej
I słyszałem, jak u Sani
Coraz mocniej serce tętni.
Dziewczę, gniewne na początku,
Złagodniało, mniej się wzbrania,
Groźby swoje zmienia w prośby,
Krzyki—w szepty i błagania,
Prawie z płaczem, drżąca cała
Tak się prosi, błaga czule
I wciąż słabszy opór stawia,
Gdy ja wciąż ją mocniej tulę,
Wciąż całuję w oczy, usta,
Aż bezwładna, wpół zemdlona,
Jak zatruta gadem — w moje
Osunęła się ramiona.
. . . .

XI.

Różne miary mają w czasie
Doba smutna—lub szczęśliwa:
Chwila bólu trwa jak wieczność,
Wiek rozkoszy chwilką spływa.
Nie określę, ile czasu
Mi spłynęło wśród pieszczoty
I jak długo rozkosz piłem

sposób z innym szczególnym prądem życia angielskiego, który wywołał wspomnianą wyprawę inteligencyi do ludu.

Zwróćmy się do genezy tego prądu ekonomiczno-uczuciowego. Pomijając mniejsze postacie, musimy wspomnieć o najwybitniejszych praojcach, Carlyle'u i Lalorze. Walka pierwszego przeciw „mamonizmowi" i „dyletantyzmowi" jest źródłem, z którego wytrysły poniekąd dzisiejsze krucyaty. „Głosimy zupełne odosobienie, życie nasze nie jest wzajemną pomocą, lecz wzajemną nienawiścią i upływa pod prawami wojennemi, które zowiemy konkurencyą. Zapomnieliśmy, że zapłata za usługę nie stanowi i nie powinna stanowić jedynej spójni pomiędzy istotami ludzkiemi. Co więcej, sądzimy, że w ten sposób wywiązać się możemy ze wszystkich obowiązków moralnych. Jest to mamonizm. Lecz można mu jeszcze przebaczyć, zajmuje się bowiem pracą, która nawet w najgorszym gatunku jest przecież błogosławieństwem dla człowieka. Lecz dyletantyzm spędza czas w próżniactwie, jest on hasłem arystokracyi, jedynie polującej na lisy i przeprowadzającej prawa zbożowe. Ta wysoko postawiona klasa, lecz bez żadnych obowiązków, jest jako drzewo nad przepaścią, którego korzenie gnić zaczynają." Lalor (1852) wywiesza godło: niepodobna jednocześnie czcić Boga i mamonę! — i zwraca się przeciwko ekonomii, że w stosunku robotnika a pracodawcy widzi jedynie stosunek sprzedawcy i nabywcy, porównywając pierwszego do cukru lub sukna. Kazania te już w owym czasie wywarły pewien skutek, lecz większym ogniem zapłonęły dopiero w ostatnich czasach. Arnold Toynbee (1852—1883) wykształcił się na tych wzorach i w wykładach swoich stanął na tem stanowisku; Pod jego imieniem rozwija się właśnie owa dzisiejsza działalność inteligencyi, która wyłoniła klasztory społeczne. *Odczyty o rewolucyi przemysłowej w Anglii*, wydane już po śmierci młodego mistrza (1884 i 1887), są głównem teoretycznem wyrażeniem tego dziwnego, a ciekawego prądu. Zresztą prócz Toynbee widzimy tutaj jeszcze innego, dodajmy umiarkowanego teoretyka, Marshalla, obecnie profesora w Cambridge. Wreszcie Price wypowiedział najwyższy praktyczny ideał kierunku (1887) w „pokoju przemysłowym," t. j. organizacyi rozjemczo-polubownej najmitów i kapitalistów. „We wszystkich dzisiejszych kwestyach ekonomicznych spoczywa na dnie sprawa etyczna, jeśli chcemy naszym poszukiwaniom nadać jakiś cel bezpośredni;" te słowa Marshalla charakteryzują cały ów prąd. Niezależnie odeń, lecz na tym samym gruncie stoi John Ruskin. Oryginalny krytyk estetyczny, zwrócił się w ostatnich czasach do ekonomii, aby tutaj wprowadzić „uczucie" i rozbić „naukę." W ogóle comtyści stawiają go obok i na równi z Carlylem. Ruch ten uczuciowo-etyczny zlewa się i łączy z comtystami i teoretykami trade-unionizmu dotychczasowego. Powoli też jednoczy się i z innym odłamem, „naukowo-historycznym."

W „poważnej" nauce ekonomicznej poglądy klasyczne panują w całej swojej mocy mniej więcej do r. 1869, kiedy Mill, jeden z mistrzów dawnej szkoły, wyraził niejakie powątpiewanie, co więcej, odrazu zerwał z dawnemi swojemi twierdzeniami przy rozbiorze książki Thorntona *O pracy*. Jednocześnie miss Martineau, popularyzatorka niegdyś doktryny Ricarda, wypowiada pewne wątpliwości. Jest to jakby hasłem do rozpoczęcia ataku z różnych punktów. Jevons, Sidgwick występują z zarzutami. Maine odkrywa nowe widnokręgi. Rogers, zmarły przed kilku tygodniami, w pracach swoich *Sześć wieków pracy i zarobku* 1884 i *Ekonomiczne wyjaśnienie historyi* 1889, wykazuje rodowód dzisiejszych stosunków ekonomicznych Anglii i względność praw ekonomicznych, które z „naturalnych" zostają sprowadzone do „historycznych." Wreszcie jako stanowczy reformatorzy występują Cliffe Leslie (1870—1879) i Syme. Pierwszy zaprzecza, aby można było opierać wszystkie czyny ludzkie na samolubstwie i na tej zasadzie budować cały dobrobyt społeczny. Takie pojmowanie rzeczy jest w jego rozumieniu dowolnem podstawieniem jednego czynnika tam, gdzie dzieje wskazują ich mnóstwo. Wpływy niemieckie już silnie zarysowały się tutaj. Wreszcie Syme w swojej pracy (1876) broni moralności w sferze ekonomicznej i żąda zastąpienia dawnej metody dedukcyjnej przez indukcyę oraz uwzględnienia wskazówek historycznych. Przełom ten zwłaszcza silnie występuje w Anglii od 1884.

Słowem mamy cały szereg prądów, które wychodzą wprawdzie z różnych źródeł, lecz zlewają się w jedno wspólne łożysko. W ostatecznem swem wykończeniu są one jedynie nową edycyą pokrewnego ruchu w Niemczech, naturalnie posiadającą niejakie sobie tylko właściwe rysy, odpowiednie warunkom otoczenia. Zresztą niektóre odłamy angielskie rozwijały się wprost pod silnym wpływem prób niemieckich wprowadzenia do ekonomii etyki i względności historycznej. Jest to jakby zmieniony nieco niemiecki „socyalizm katedrowy," lecz na gruncie wielkobrytyjskim. Niemieccy patryoci w skórze ekonomistów gotowi nawet widzieć w tem dowód zwycięztwa mózgu niemieckiego nad angielskim i obwieszczają to hałaśliwie. Około dawnego manczesteryzmu grupują się w Anglii niedobitki i jedynie Herbert Spencer nie przeniewierzył się starej doktrynie. Lecz cóż oznacza to bankructwo urzędowej ekonomii, ten najazd etyki, te wyprawy uczucia przeciw nauce, względności przeciw dogmatowi? Wspomnieliśmy o pewnem silnem podobieństwie owego przełomu do stosunków niemieckich. Źródło moralizowania ekonomii jest w obu krajach te same. Kiedy w Niemczech począł szerzyć się prąd społeczno-demokratyczny i podnosić tę okoliczność, że w obecnem społeczeństwie najmitę zrównano z wszelkim innym towarem, oraz wysnuwać dalsze wnioski i wystawiać żądania, wtedy właśnie zagrożony porządek społeczny przywołał zapomnianą etykę do pomocy. Etyka winna była naprawić wszystko zło, załatać wszystkie dziury, zakryć cynizmy życia i zmódz żywioły przewrotowe. Otóż Anglia od jakiegoś dziesiątka lat jest widownią wzmagania się dążności społeczno-demokratycznych. Jednocześnie ukazuje się etyka; w dalszym zaś ciągu trade-unionizm z ideałami sojuszu polubownego pomiędzy pracą, a kapitałem zostaje wysunięty na przód. W miarę wzrostu przewrotności społeczno-demokratycznej inteligencya kraju zaczyna przypominać kazania Carlyle'a i smakować w marzeniach Toynbee, przeciwstawiać uczucie „suchej nauce," braterstwo cynizmowi klasowości. Gdyby Krasiński był anglikiem, napewno stałby się jednym z mistrzów ruchu. „Jedno pienie, a dwa chóry" byłoby hasłem dnia. We wszystkich tych bowiem ekonomicznych comtyzmach i ekonomicznych etykach, w tym proteście uczucia przeciw nauce, w tych pałacach pracy i krucyatach do ludu, wreszcie w tem uznaniu dotychczasowego trade-unionizmu za podwalinę społeczną chodzi wyraźnie o to, aby było jedno tylko solidarne, braterskie pienie, lecz oparte na dwóch chórach... Działacze mogą być ludźmi uczciwymi, sercami gorącemi, ale prąd jest nawskroś natury klasowej, tak samo jak kazania Carlyle'a, Kinsleya i in. były reakcyą przeciw krańcowościom czartyzmu. Kiedyś w klasycznej ekonomii politycznej mieszczaństwo odrzucało wszelką względność i serdeczność, bo czuło swoją potęgę; dzisiaj jest grzesznikiem bijącym

---

Kosztem jej dziewiczej cnoty,
W zapomnieniu się, w ekstazie,
W szale, upojeniu takiem,
Jak bym został wniebowzięty!
Lecz zbudziłem się z niesmakiem.
Izba zdała się ciemniejszą
Kąty skryły się w pomroce,
Z zewnątrz słychać plusk, szum wiatru
I po szybach deszcz łopoce.
Jakiś ostry zgrzyt sumienia
Począł się odzywać we mnie:
— Wyrządziłeś krzywdę, podłość,
Zdrożność!.. mówi głos tajemnie,
A gdym potem na dziewczynę
Spojrzał okiem otrzeźwiałem,
Żal spotężniał — i wyrzutów
Jeszcze mocniej doznawałem.
Ach, widoku jej postaci
Nie zapomnę i po skonie!
Stała właśnie pośród chaty,
Twarz ukrywszy w obie dłonie;
Warkocz bujny rozplątany
Spadł bezładnie na ramiona;
Z pod koszuli jej rozdartej
Wychyliła się część łona,
A zerwany sznur korali
Zwisał z szyi i po ziemi
Siał wokoło paciorkami,
Jak krwi krople czerwonemi.
Jej spódniczka rozluźniona
Spadła w fałdach na kolana.
Cała postać była zmięta,
Splugawiona, potargana...

W pohańbieniu swojem cicho
Stało dziewczę to prostacze,
Lecz ruch ramion spazmatyczny
Mówił mi, że gorzko płacze.
Więc załością wielką zdjęty
Przybliżyłem się nieśmiało:
Wszak płaczącą ją utulać
I pocieszać należało!
Ale tak mię mocno pchnęła,
Aż stoczyłem się ku ścianie
I gdy zdjęła ręce z twarzy,
Ledwie poznać mogłem Sanię:
Twarz jej jeszcze była mokra,
Z łez śladami—lecz źrenice
Miała suche, groźne, lśniące,
Ciskające błyskawice;
Zwarła szczęki, nozdrza wzdęła,
Niewyraźne sycząc słowa,
Pochyliła się wpół ku mnie,
Jak ryś skoczyć wnet gotowa.
Obaczyłem w jej obliczu
Razem jędzę i Minerwę;
Wściekle się rzuciła na mnie,
Krzycząc: „Precz stąd, bo rozerwę!
Uchodź, podły nikczemniku,
Jeśli żywot dla cię miły!"
I wypchnęła za drzwi. Dziwna,
Skąd jej przyszło tyle siły.
Szedłem, chwiejąc się, bez czapki...
Padał deszcz, szumiały jodły,
Odbijając już od brzegu,
Jeszczem słyszał: podły! podły!
Jednocześnie kamień duży
Burcząc, spadł przy samej łodzi.
Aż mi w twarz chlupnęła woda!
Uciekałem więc, jak złodziej
I nie byłem u niej więcej,
Czy ze wstydu, czy z obawy,
Wreszcie inne, poważniejsze
Wkrótce mię zajęły sprawy.

(D. c. n.)

się w piersi, całującym złupioną ofiarę, lecz mimo skruchy nic niedającym prócz jałmużny. W tym względzie i dzisiaj ekonomia pozostała *science of business* — naturalnie interesu nieświadomego, klasowego. Wreszcie zerwanie z dawną bezwzględnością ekonomii klasycznej i z jej metodą dedukcyjną jest niczem innem, jak stwierdzeniem faktu, że Anglia została zepchnięta z pierwszorzędnego stanowiska na rynku wszechświatowym i doświadczalnie zrozumiała swoją względność. Walka pomiędzy dawnemi, a nowemi zasadami nie jest postępem nauki ekonomicznej, lecz tylko zapasami dawnych i nowych ideologicznych szermierzów mieszczaństwa.

K. R. Żywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY ŚREDNIE W GALICYI.

Lwów, 28 listopada.

Komisya szkolna, której sejm poruczył rozpatrzeć sprawozdanie Rady szkolnej krajowej o stanie szkół średnich w latach 1888—90, odsłoniła z całą otwartością zgniliznę naszych gimnazyów i szkół realnych, domagających się radykalnej zmiany. Zarzuty, podniesione przy tej sposobności przez naszych najwybitniejszych posłów sejmowych, dotyczą nietylko obniżenia się poziomu wiedzy w poszczególnych przedmiotach, ale skierowane są przeciw całemu systemowi szkolnemu. Towarzyszą im skargi Akademii umiejętności na brak fizycznego i moralnego zdrowia, brak energii i zamiłowania w pracy uczniów, na „czczość i powierzchowność pokolenia, opuszczającego szkoły średnie.“ Z goryczą niedawno trzeba zapytać, jakim sposobem stać się mogło, że przyznanie prawa kształcenia się w języku narodowym nie przyniosło błogosławionych skutków? Wprowadzenie języka krajowego do wykładu wymagało i wymaga koniecznie przetworzenia szkół w duchu cywilizacyi swojskiej. Jeżeli tego nie uczyniono, jeżeli szkoły średnie pozostały co do ustroju, metody, a nawet co do środków naukowych, na lichą polszczyznę przetłomaczonemi gimnazyami niemieckiemi, łatwo stać się mogło, że chorując na wszystkie wady austryackiego szkolnictwa, coraz surowszej dziś podlegającego krytyce, wpadły jeszcze w wadę sobie właściwą, pochodzącą ze sprzeczności między językiem krajowym a treścią obcą, niewolniczo z obcych wzorów naśladowaną. Znaczące były słowa posła Szczepanowskiego, rzucone naszym władzom krajowym, a domagające się wychowania młodzieży w duchu obywatelskim. Stwierdzono przy tej sposobności, że „najgorzej“ stoi w naszych szkołach średnich sprawa nauki języka polskiego. „Jest rzeczą *notoryczną* — mówi urzędowy komunikat — że dziś mało kto w Galicyi umie pisać i mówić poprawnie po polsku, że błędy językowe *elementarne* i *skandaliczne*, popełniają nawet ludzie wysoko wykształceni, nie zdając sobie wcale z tego sprawy. Szczególniej akta urzędowe z jednej strony, a z drugiej dziennikarstwo szerzą bezwiednie to skażenie języka, któremu w dalszym ciągu ulegają wszyscy; szkoła zaś nie jest w stanie zwalczać go skutecznie, bo sami nauczyciele ulegają mu mimowolnie.“ Aby to złe nie przybierało coraz większych rozmiarów, sejm wzywa rząd o pomnożenie liczby posad nauczycieli języka *niemieckiego!* Jedną z największych przywar nauczania w szkołach średnich jest ograniczanie się do zadawania i przesłuchiwania lekcyj „na klasę.“ Nauka staje się przez to mechaniczną i nie zajmuje bynajmniej ucznia.

Punkt ciężkości w pracy szkolnej spada przeważnie na pamięciowe wyuczenie się zadanej lekcyi w domu, pracy nadzwyczaj mozolnej, umysł i serce zabijającej, którą majętniejsi starają się uczynić znośniejszą zapomocą „korepetycyj,“ udzielanych przez biednych studentów. „Gdziekolwiek takie korepetycye dotąd istnieją — powiada sprawozdanie urzędowe — mogą być uważane jako niezawodny *symptomat*, iż trwają w swej pełni wszystkie wady starego *systemu praktyki dydaktycznej*, a dokładniejsze zbadanie ich natury poucza, że nie zastąpią nigdy nauki szkolnej, *racyonalnie* kierowanej.“

Dwustopniowość nauki, na podstawie której w szkołach średnich każdy przedmiot wykładany bywa dwa razy (raz w niższem, drugi raz w wyższem gimnazyum), zniesiono już w Prusach, Węgrzech, Włoszech itd., u nas trzymają się uporczywie tej starzyzny, aby do reszty zagwoździć umysł chłopców, uginających się pod ciężarem nudy i drobiazgowości. Stan zdrowotny naszych zakładów średnich nie odpowiada najskromniejszym warunkom hygieny i wychowania. Oto co o budynkach podaje urzędowe sprawozdanie: „W Krakowie wszystkie szkoły średnie mają mniej lub więcej nieodpowiednie umieszczenie. Najgorzej umieszczone jest gimnazyum III w budynku prywatnym, zupełnie niezastosowanym do potrzeb szkolnych, o izbach ciasnych i niewygodnych, bez odpowiednich korytarzy, podwórza, wentylacyi itd. Również niekorzystnie umieszczona jest szkoła realna w budynku prywatnym z ciasnymi i napół ciemnymi korytarzami, o izbach bardzo niekorzystnie oświetlonych. Gimnazyum św. Jacka ma znaczną liczbę sal odpowiadających celowi, ale klasy przytykające do ulicy mają izby małe, a gwar uliczny przeszkadza wielce nauce. Budynek gimnazyalny w Przemyślu jest za mały, trudny do ogrzania, a po części grozi zawaleniem“ itp.

Wobec ogromu ciągle mnożących się wiadomości, wobec przeważnie umiejętnego, a niepedagogicznego wykształcenia młodych nauczycieli, szkoły średnie chorują powszechnie na rozpychanie uczniów masą naukowego materyału. Chcianoby ich wszystkiego nauczyć. Jest to przeoczenie właściwego ich zadania. Nauka szkolna nie jest celem, ale środkiem kształcącym. A to tylko może kształcić, co się podaje gruntownie, z zachowaniem miary głów młodych i ze znajomością ich naturalnego rozwoju. Jałowy kierunek wychowania szkół średnich odbija się już w samem zestawieniu liczbowem realnych z gimnazyami. Takiego rażącego stosunku nie spotkasz w żadnem państwie europejskiem. W r. 1890 mamy obok 26 gimnazyów z 12,555 uczniami tylko 3½ szkół realnych (3 całe i 1 niższą) z 1,050 uczniami! Podczas kiedy przed 15 laty ¼ część uczniów szkół średnich odwiedzała realne (2,545 ogólnej liczby 9,680), dziś uczęszcza do nich niespełna $^1/_{11}$ część! Ten ruch postępowy w kierunku gimnazyalnym, a wsteczny w kierunku realnym odbywał się w całym okresie 10-letnim ze stałością, rzadką w statystyce szkolnictwa. Nieprzerwanie wzrastały bezwzględne liczby uczęszczających do gimnazyów we Lwowie: 1,508, 1,691, 1,855, 1,968, 2,142, 2,326, 2,410, 2,530, 2,594. W Krakowie: 974, 981, 1,115, 1,260, 1,372, 1,474, 1,585, 1,704, 1,783; nieprzerwanie też zmniejszały się liczby uczniów szkół realnych: we Lwowie: 901, 799, 688, 553, 469, 375, 288, 243, 219, w Krakowie: 782, 775, 718, 588, 502, 427. 315, 260, 228; bez przerwy wreszcie zmieniają się w kierunku ujemnym dla szkół realnych liczby procentowe, wyrażające wzajemny stosunek uczniów w gimnazyach i szkołach realnych. Procentowy udział gimnazistów podnosi się we Lwowie od 62,60% stopniowo do 92,26%; w Krakowie od 55,47% do 88,66%, natomiast obniża się udział realistów we Lwowie z 37,40% stopniowo do 7,79%, w Krakowie z 44,54% do 11,24%. W ostatnich dopiero latach widać pomyślniejszy stosunek na korzyść szkół realnych. (W r. 1887 było 856 uczniów, w 1888 — 860, w 1889 — 1,050). Wzrastające cyfry uczniów w naszych gimnazyach nie odpowiadają rzeczywistym potrzebom kraju, szkoły te z ujmą dla swego właściwego zadania i naukowego rozwoju zastępują z konieczności zakłady z kierunkiem praktycznym, których nam brak, a któreby przygotowywały i po krótszym czasie nauki prowadziły wprost do różnych zawodów w zakresie przemysłu, budownictwa, handlu i rzemiosł, zapewniających byt materyalny i możność postępu w obranym zawodzie.

Przyczyny wzrostu szkół gimnazyalnych kosztem realnych leżą głęboko w naturze stosunków naszego kraju i usuwają się z pod wpływu wszelkich zarządzeń szkolnych (opłakane położenie ekonomiczne, nierozwinięty przemysł i handel itp.), ale jedną należało dawno usunąć, mianowicie wadliwy ustrój naszych szkół realnych. Zrazu chętnie tłoczono się do nich w nadziei, że tam można zdobyć przygotowanie do zawodów praktycznych. Skoro jednak przekonano się, że one praktycznej nauki nie dają, a zamykają dostęp do całego szeregu zawodów innych, skoro zwłaszcza zaczęli napływać uczniowie słabi, których tam przenosili z gimnazyów rodzice, sądząc, że tu im łatwiej pójdzie nauka: zniknęła popularność szkół realnych i wszyscy zaczęli od nich stronić. Nie można tu nawet nabyć znajomości języków nowożytnych, nic więc dziwnego, że rodzice oddają niechętnie swe dzieci, a skutkiem tego do gimnazyów przybywa zbyt wielu uczniów, z których część znaczna z pewnością uczęszczałaby do szkół realnych, gdyby odpowiadały swemu celowi. Tak długo zwlekano z naprawą budynku, aż się zawalił... Dziś sejm raczył uchwalić, aby rząd w najkrótszym czasie przedstawił projekt reorganizacyi szkół realnych, uregulował plan nauk w sposób zgodny z ich zadaniem.

Ażeby ta uchwała doprowadziła do celu— wątpimy. Należałoby działać środkami skuteczniejszymi, trzebaby gimnazya pozostawić dla uczonych i majętnych, którzyby się tam marynowali jak w średnich wiekach, a nawet sprawić im birety i długie togi, aby mieli się czem bawić, a dla nas biednych, niezamożnych prostaczków średniej zdolności pozakładać szkoły, w którychby młodzież nasza kształciła się na praktycznych obywateli wszelkich zawodów, których tu bardzo potrzebuje życie autonomiczne, a których dziś, niestety, nie posiada. Zwłaszcza u nas, gdzie tradycye „alwara“ w szkołach jeszcze nie wyginęły, gdzie „łokieć i miarka“ nie znalazły w pojęciach ogółu równouprawnienia z szacherką adwokacką, u nas, gdzie technika uważa się za rzemieślnika, a przemysłowca za nieboskie stworzenie, u nas, gdzie ideałem większej części szlacheckiego społeczeństwa jest raczej karyera urzędnicza, aniżeli uczciwa produkcyjna praca, zgodna z istotnemi potrzebami kraju i duchem czasu, należałoby trochę spuścić z tonu, ograniczyć klasyczny system wychowania na korzyść realnego. W stosunku do nakładu czasu i sił wydają nasze gimnazya owoc niedostateczny, wtłaczają nadmiar wiedzy bez praktycznej wartości, skąpią w tem, co dla życia powszednego jest koniecznem. Zwolennicy starego systemu prawią ciągle o korzyściach tego kierunku, ale czyż podobna, aby niedojrzały wyrostek przy pomocy języka dlań nieznośnego i niezrozumiałego wniknąć mógł w ducha przeszłości, kiedy jeszcze nieobeznany jest z teraźniejszością, aby przy równoczesnem pasowaniu się z regułami gramatyki pojąć mógł subtelności polityczne, filozoficzne i estetyczne autorów, którzy wogóle nie pisywali dla... dzieci.

Wszyscy zgadzają się dziś na usunięcie języków klasycznych na plan dalszy i wprowadzenie natomiast nowożytnych, tudzież więcej przedmiotów realnych, aby młodzież

mogła się kształcić nietylko na doktorów wszelakiego rodzaju bez — chleba, lecz i na rozumnych obywateli. Organizacya gimnazyów opiera się na podstawie z r. 1849, która z biegiem czasu doznała tylu szczerb, że wymaga koniecznie naprawy. Po ośmioletniej pracy syzyfowej, usiłującej zapomocą „preparacyj" i łamigłówek językowych wniknąć w głąb „ducha" klasycznego, nienawidzą uczniowie greki i łaciny, jak poparzone dziecko ognia. Wiedzą o tem dobrze nasi ojcowie ojczyzny, mimo to wszystko, gdy roztrząsano kwestyę ograniczenia języka greckiego w gimnazyach, większość szkolnej komisyi sejmowej uznała, że wszelkie poruszanie tej sprawy i wogóle zasad systemu dzisiejszego przez władze szkolne byłoby *rzeczą stanowczo przedwczesną* (?!). Władze skarżą się na przeludnienie naszych gimnazyów, będące „specyficznie" galicyjską plagą szkolnictwa. Płynie ono z dwóch źródeł. Jedno z nich, tj. brak dostatecznej ilości zakładów i stąd wynikający ubytek sił nauczycielskich. Sprawozdanie Rady szkolnej zaznacza to w sposób jasny i przekonywający. Drugie jednak, tj. przepełnienie, które pozostało poniekąd w cieniu, wskazała wyraźniej komisya szkolna. Ktokolwiek miał sposobność zapoznać się z gimnazyami galicyjskiemi, ten zawsze dochodził do przekonania, że kończący je „maturzyści," mimo otrzymanego świadectwa dojrzałości, naprawdę dojrzałymi nie są. Komisya tłomaczy to przepełnieniem gimnazyów. (D. n.).

Beta.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA HISTORYA RZYMU.

Mommsen znalazł współzawodnika wśród historyków niemieckich. Dwadzieścia dwa lata pracował Wilhelm Ihne nad ośmiotomową swą *Römische Geschichte*, aż wreszcie wyczerpane siły zmusiły go do skrócenia i zakończenia dzieła: tom ósmy i ostatni zaledwie ukazuje nam monarchię rzymską, założoną przez Oktawiusza. Widocznie podjął się autor zadania dlań za wielkiego, bo nawet ostatnia część dzieła zredukowanego nie na własnych jego polega badaniach, jest tylko przeróbką spuścizny literackiej zmarłego jego przyjaciela A. W. Zumpta.

Ażeby powziąć myśl napisania wielkiego dzieła o historyi rzymskiej po pracach Niebuhra i Mommsena, niezbędnem jest przekonanie, że prace owe potrzebują uzupełnienia lub poprawy. Historya Mommsena porywa i konkurencyi ze strony Ihnego obawiać się nie potrzebuje; lecz czytelnik krytyczny — nie mówiąc już o uczonym — niemile odczuwa brak źródeł, na których podstawie autor doszedł do swych poglądów, odbiegających tak często od tradycyi utartej. Zamiarem Ihnego było tedy zapoznać szerszą publiczność w sposób krytyczny ze źródłami i z literaturą dziejów rzymskich. Chcąc wywiązać się z tego zadania w sposób wyczerpujący, musiałby napisać osobne dzieło z pominięciem samej historyi. Naturalnie trzeba było ograniczyć się na traktowaniu źródeł najgłówniejszych.

Lecz nie w samej metodzie różni się Ihne od Mommsena. Jako uczeń Fr. Ritschla, odbiega on w wielu kwestyach ważnych od swego poprzednika. Był czas, kiedy poglądy Mommsena na wypadki i ludzi w historyi rzymskiej powszechnem cieszyły się uznaniem, a nawet większość uczonych olśniewały, mimo iż opierają się bardziej na osobistych jego sądach, aniżeli na nowym materyale. Powodzenie to zawdzięcza on sile i czarowi pióra swego. Ihne należy do historyków suchych. Pisze trzeźwo, bezbarwnie, nie zastosowywa stylu do przedmiotów, za to jest zawsze jasnym i przejrzystym. Trudno przypuścić, aby jego dzieło stało się popularnem. Autor zajmuje się wyłącznie historyą polityczną i ekonomiczną, literaturę i sztukę wyklucza prawie całkowicie z wykładu. Za to cały niemal tom zapełnia starożytnościami rzymskiemi, z któremi w dziełach specyalnych o wiele lepiej zapoznać się można, a które bynajmniej nie przyczyniają się do rozświecenia poglądów naszych na historyę rzymską. Lecz suchość i pragmatyczność swą posuwa dalej jeszcze: nie zapuszcza się prawie wcale w głębszą charakterystykę wybitnych osobistości, co właśnie stanowi powab książki Mommsena. Sądy swe streszcza w kilku wierszach lub epitetach; są one po większej części ujemne; zdaje się, że Ihne z serca nienawidzi naród, którego historyę pisze. Jeden tylko człowiek cieszy się pełną jego sympatyą: Hanibal, wróg śmiertelny rzymian. Obaj Scypionowie są ludźmi o średniem uzdolnieniu, Marcelus, zdobywca Syrakuz, zimnym okrutnikiem, rozmiłowanym w przelewaniu krwi. Wobec Cezara Ihne zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy Mommsenem, który go uwielbia, a K. W. Nitzschem, który widzi w nim cynika szatańskiego, pragnącego włożyć rzymianom jarzmo despotyzmu wojskowego. Według Ihnego, Cezar był mieszaniną pierwiastków wielkich i słabostek, zdolny wódz i polityk, który wstąpił w życie bez planu zgóry ułożonego, a goniąc za powodzeniem, wreszcie powziął myśl sięgnięcia po władzę najwyższą. Tej samej drogi pośredniej trzyma się Ihne w pojmowaniu Cycerona. Krytyka jego jest tedy ostrożną, lecz niezbyt oryginalną, ani w głąb sięgającą. O ileż więcej pobudza własny sąd czytelnika uwaga takiego Nitzschego, który stwierdza, że wszystko, co wiemy o wojnie domowej pomiędzy Cezarem a Pompejuszem, opiera się na opracowaniu samego Cezara. Jakżeby się w opinii naszej przedstawiał dziś Cezar, a jak Pompejusz, gdyby ostatni pozostał był zwycięzcą i gdyby on pozostawił był urzędową historyę wojny domowej! *L.*

NOWY PRZYCZYNEK NAUKOWY.

Gazeta lekarska zamieszcza następujące doniesienie naukowe profesorów uniwersytetu w Bernie, M. Nenckiego i H. Sahliego w przedmiocie badań, mających związek z odkryciem Kocha:

„Znaną jest rzeczą, że peptony, do krwi wstrzyknięte, okazują działanie trujące na ustrój, a o ile nam wiadomo, najpierw Schmidt-Muehlheim przed laty 10-u pierwszy na to zwrócił uwagę. Równie dawnem jest spostrzeżenie J. Béchamp'a i E. Baltusa, wykazujące, że wstrzykiwanie do żył enzymów wywiera silne trujące działanie na ustrój. Już 0,35 grama fermentu słodowego *(Malzdiastaze)* i 0,15 grama pankreatyny na 1 kilogram wagi ciała, wstrzyknięte psu do krwi, zwierzę to zabija. Następują wymioty, biegunka krwawa, a sekcya wykazuje zazwyczaj silne przekrwienia i obfite wylewy krwi w narządach. W mocu można było wykryć wstrzyknięte enzymy. Należałoby przetwory te podług nowego słownictwa nazwać toksalbuminą.

Peptony i wytwarzające je enzymy należą do rzędu ciał białkowatych. Co się tycze peptonów, nie ulega to już żadnej wątpliwości; że zaś to samo dotyka i enzymów, to już O. Loew (Pflueger's *Archiv*, tom 27, str. 203) wykazał przed kilku laty. Szczególniej pankretyna, której proteolityczne i zcukrzające własności były badane, wykazała, oprócz takiego samego zachowywania się ogólnego, także i taki sam procentowy skład, jak prawdziwe, w wysokiej ciepłocie ścinające się ciała białkowate.

Na podstawie dotychczasowych badań można powiedzieć, że nie ma ani jednej istoty żyjącej, chociażby ustrój jej z jednej składał się komórki, któraby nie wytwarzała enzymów (fermentu rozpuszczalnego). Owszem w najniższych ustrojach, jak wodorosty i grzybki rozszczepkowe, badania w ostatnich czasach wykazały bardzo silnie działające enzymy.

Jeden z nas przed kilku laty (*Archiv für experimental Pathologie und Pharmacologie*, tom XX, str. 345), w pracy swej wyraził pogląd na istotę enzymów; kilka zdań z tej pracy przytaczamy tutaj: „Obstaję przy tem, iż działanie enzymów zależy od niestałych grup *(labile Gruppen)*, zawartych w każdej ich cząsteczce... Niezwykła niestałość stanowi charakterystyczną własność enzymów. Kwasy, zasady, sole metali w mniejszem lub większem stężeniu działanie ich znoszą; w ten sam sposób działa dłuższe lub często traktowanie ich wyskokiem. Nieprzyjemnie byliśmy zdziwieni, widząc, że początkowo bardzo silnie działające enzymy traciły swą działalność i rozpuszczalność, często wprost wskutek dłuższego przechowywania w stanie suchym w ciepłocie zwykłej. Enzymy, szczególniej wilgotne, nie znoszą również wyższych stopni ciepłoty, granica jednakże tej ciepłoty wykazuje znaczne wahania dla rozmaitych enzymów zwierzęcych i roślinnych... Jedno ze zjawisk podstawowych życia, mianowicie wrażliwość, zachowuje się w enzymach, gdyż enzymy zachowują się względem bodźców chemicznych, cieplikowych i elektrycznych w wielu przypadkach zupełnie tak samo, jak żyjąca protoplazma. Nic więc dziwnego, że biologowie z przed lat 60, zbici z tropu taką analogią, za jedno poczytywali enzymy i jednokomórkowe ustroje, wywołujące sprawę fermentacyi. W jaki sposób z białka bezwładnego powstaje białko ruchome, możemy się zaledwie tylko domyślać. Należy jednak przypuszczać, że dzieje się to na drodze pewnego rodzaju fermentacyi. Enzymy działają tak, jak rozcieńczone kwasy, gdyż rozcieńczone kwasy rozdzielają związki pochodne od aldehydów, odradzając grupy aldehydowe.

Bardzo wiele w ostatnich czasach rozprawiano nad środkami ochrony ustrojów zwierzęcych i ludzkich od inwazyi drobnoustrojów przy chorobach zakaźnych. Miecznikow poszukiwał tych środków między fagocytami. W ostatnich czasach odkryto własność surowicy krwi zabijania bakteryj i nie ulega wątpliwości, że z czasem zwiększą się nasze wiadomości, dotyczące środków i dróg, któremi ustrój posiłkuje się w obronie własnej. Ponieważ działanie mikrobów chorobotwórczych na ciało nasze jest tak różnorodne, przeto może być, że i sposób oddziaływania ustroju jest o tyle niedostatecznym. Enzymy, które tak łatwo się zmieniają i taką znaczną własność oddziaływania posiadają, są prawdopodobnie jedną z tych broni, któremi posługuje się ustrój zwierzęcy w celu walki z inwazyą choroby zakaźnej. Rzeczą godną uwagi jest ta okoliczność, że w warunkach zwykłych enzymy przewodu pokarmowego, oraz peptony albo wcale do krwiobiegu się nie dostają, albo w ilościach minimalnych. O peptonach wiemy, szczególniej dzięki pracom Hoffmeistera, że się one już w błonie śluzowej przewodu pokarmowego zmieniają na ciała białkowate, ścinające się w wysokiej ciepłocie.

Przy takiej ruchliwości enzymów powinna być łatwa zamiana na związki, pozbawione działania. Należałoby tedy przypuszczać, że narządy, leżące po za przewodem pokarmowym, nie powinny podlegać działaniu trującemu enzymów; taki stan rzeczy wystarczający jest wśród warunków normalnych. Jeżeli jednak pewne narządy zagrożone są wtargnięciem mikrobów, to wówczas przypuścić należy, że za pomocą dowozu miejscowego enzymów czynnych ula nim pomódz odpowiednim tkan-

kom do zwycięztwa w walce z drobnoustrojami chorobotwórczymi.

Badania, przez Langhansa dokonane, wykazały, że mięsaki odznaczają się dużą zawartością glikogenu; wypadałoby tedy przypuszczać, że za pomocą wstrzyknięcia enzymów silnie zcukrzających do takiej tkanki, wywołamy rozpuszczenie glikogenu, zatrzymanie jego dalszego powstawania, a na tej drodze może osiągnąćby się dało zatrzymanie wzrostu samego nowotworu. Pomyślne działanie streptokoka róży, zaszczepionego do ustroju, na nowotwory złośliwe zależy prawdopodobnie od działania enzymów, przez te koki wytwarzanych. Bouchard i inni wykazali, że rozpuszczalne produkty, wytworzone wskutek przemiany materyi danego drobnoustroju, ochraniają ustrój zwierzęcy od szkodliwego działania tegoż drobnoustroju. Zazwyczaj pod mianem enzymów rozumiemy te albumozy, które posiadają działanie proteolityczne (rozkładające białko), roszczepiające tłuszcze i zcukrzające. To określenie jest jednak niewystarczające, gdyż w ciele naszem znajdują się albumozy o zmiennej cząsteczce, które mają jeszcze inne działania, jak np. ferment włóknika.

Wychodząc z tego punktu zapatrywania się i po wykonaniu prób koniecznych na zwierzętach, przedsięwzięliśmy szereg prób przy rozmaitych postaciach chorób. Spostrzeżenia nasze i wnioski, wypływające z doświadczeń na zwierzętach i ludziach, ogłosimy później. Przyczyną tego, że dziś już ogłaszamy poglądy, na których zasadzie rozpoczęliśmy te badania, jest ta okoliczność, iż pojawiła się praca R. Kocha p. t. *Weitere Mittheilungen über ein Heilmittel gegen Tuberculose.* W pracy tej mało podano wskazówek, dotyczących własności chemicznych środka leczniczego; z drugiej strony jednak, z powodu podobieństwa jego działania fizyologicznego przy podskórnych wstrzykiwaniach, można przypuszczać, iż szczepionka Kocha może być właśnie takiem ciałem, podobnem do enzymów lub peptonu. Przypuszczenie to tem bardziej myśli naszej się nasuwa, że już więcej niż przed dwoma laty w pracowni naszej dr. Hammerschlag, pracując nad składem chemicznym laseczników gruźliczych, izolował z ciała tych drobnoustrojów substancyę podobną do albumozów i obdarzoną silnie trującemi własnościami."

LITERATURA I SZTUKA.

ATOMISTYKA WOLI.

Donosząc w roku ubiegłym czytelnikom *Prawdy* o spuściźnie literackiej zmarłego poety Roberta Hamerlinga, wspominaliśmy o rękopisie dzieła filozoficznego, nad którem od lat dwudziestu pracował i którego pojawienie się zapowiedział w swej autobiografii („Stationen meiner Lebenspilgerschaft"). Ostrożny autor przygotował pracę swą do druku, chociaż ona ukończoną jeszcze nie była i zaopatrzył ją w przedmowę na wypadek śmierci. Firma tedy nakładowa, która wydaje obecnie utwory Hamerlinga we wspaniałej ilustrowanej edycyi *in folio*, mogła też ogłosić jego dwutomową „Atomistykę woli" *).

Przedmowa zapoznaje czytelnika dokładnie z genezą i przeznaczeniem tej pracy. Niejako dla usprawiedliwienia się, że daje dzieło naukowe, poeta przytacza szereg autorów, którzy słyną jako poeci, sięgnęli też po wawrzyny wiedzy: Petrarca uchodził za najgłębszego uczonego w swoim czasie, Boccacio, Voltaire i Rousseau ogłaszali prace naukowe, Milton — rozprawy polityczne, Goethe był przyrodnikiem, Schiller historykiem i filozofem, Klopstock i Jan Paweł pracowali na polu lingwistyki, Uhland pisał o mitologii, Edgar Poe zajmował się filozofią przyrody i pozostawił dzieło p. t. „Heureka," najsławniejszy ze współczesnych liryków włoskich, Carducci, wydaje ściśle naukowe prace archeologiczne.

Hamerling, idąc za wrodzonym popędem umysłowym, zajmował się zasadniczemi kwestyami bytu i życia. Doszedł wreszcie do poglądów własnych i czuł potrzebę wypowiedzenia ich. Chodziło mu o stwierdzenie, jak daleko postąpiliśmy w rozwiązaniu głównych zagadnień filozofii, w czem streszcza się dzisiejsze poznanie człowieczeństwa, skoro mu się przypatrzymy bezstronnie, szczerze, bez pozy uczonego, usuwając wszelką poezyę pojęciową i frazeologię filozoficzną, Hamerling sądzi, że w publiczności nie istnieje potrzeba czytania coraz nowych ciągle jego wierszy; poecie, nawet zdolniejszemu, wobec skarbów nagromadzonych trudno dziś przysłużyć się światu, podczas gdy na polu nauki każdy człowiek, uczciwie pracujący, przyczynić się może bodaj do rozjaśnienia poglądów. Jest pewna racya w tych słowach. Zobaczymy, że dzieło Hamerlinga, aczkolwiek nie zawiera tego, coby autor pragnął był w niem zawrzeć, ma jednak pewne znaczenie ożywcze dla badań filozoficznych. Filozofia, podobnie jak nauki specyalne, przyjmuje cechy arystokratyczne, kostnieje zwolna, staje się konserwatywną, broni się przeciw nowościom; więc dobrze jest, jeśli od czasu do czasu człowiek niefachowy orzeźwi obszar jej swemi myślami, podobnie jak arystokracya rodowa potrzebuje odświeżenia krwi. Hamerling, rozbierając zjawiska magnetyzmu ludzkiego, słusznie zaznacza, że niechęć nauki do magnetyzerów jest niewdzięcznością, opartą na próżności; ci bowiem drogą czystej empiryi dowiedli faktów, które uczonym posłużyły potem za podstawę do ważnych badań. A jakże długo trzeba było czekać, ażby panowie profesorowie sami wpadli byli na hipnotyzm? Dodajmy, że podobnie Priessnitz, chłop niemiecki, był ojcem hydropatyi, i że dziś Kneip, oraz cały szereg lekarzów empirycznych tak zw. „Naturärzte," dają pobudkę do racyonalnego zreformowania terapii.

Wreszcie samo dzieło Hamerlinga stanowi najświetniejszy dowód uprawnienia poety myślącego do prac naukowych. Nie jest ono systematyczne, zaokrąglone, niema w niem nieprzystępnych wyrażeń, nie ma nowego na świat poglądu; Hamerling przez lat dwadzieścia studyował filozofię i nauki przyrodnicze, w krótkich, treściwych, jasnych uwagach wydobywał niejako ziarno pożywne z plonów umiejętności, odrzucając plewę. Dzieło jego stanowi istotnie cenny przyczynek do krytyki poznania nowoczesnego. O ileż ono więcej daje korzyści ogółowi i nauce, aniżeli praca współczesnego Hamerlingowi filozofa Avenariusa, który po długoletnich badaniach wydał krytykę doświadczenia, książkę o pokrewnej tendencyi! U Hamerlinga wszędzie zdrowy, ludzki rozum, dążność do wyjaśnienia najzawilszych zagadnień; Avenarius stworzył nową, skomplikowaną terminologię filozoficzną, a doświadczenie ludzkie po jego krytyce pozostało tak ułomnem i mętnem, jak dawniej.

Pójdźmy za aforyzmami Hamerlinga, wybierając myśli ciekawsze. Tom pierwszy zawiera dwie księgi: „teoryę poznania" i „teoryę bytu," tom drugi „teoryę działania" i „teoryę woli."

Trafne są zaraz na wstępie uwagi autora o wyjaśnianiu. Przypomina on słowa Hippokratesa „życie krótkie, sztuka długa, sposobność ulotna, doświadczenie złudne, sąd trudny." Grzeszyliśmy zawsze zbytnią pochopnością do objaśnień. Całe nasze tłomaczenie przyrody jest działaniem rachunkowem z ilościami niewiadomemi; obok czynników, o których mówimy, że je znamy, dlatego, żeśmy im nadali miano, istnieje mnóstwo zupełnie usuwających się z pod naszego poznania. Tłomacząc, stawiamy hipotezy, które człowiekowi wydają się bystremi, z wyższego stanowiska zaś mogą być dziecinnemi. W wielu ważnych zagadnieniach jeden z badaczów uważa coś za przyczynę, coś innego za skutek, drugi wprost odwrotnie w skutku upatruje przyczynę. (Jedni objaśniają ruch w przyrodzie działaniem siły przyciągania i odpychania, drudzy zjawiska te tłomaczą ogólnym ruchem materyi).

Już w ostatnim rozdziale „teoryi poznania" („Das Ansich der Dinge") występuje zasadniczy kierunek rozmyślań Hamerlinga. Dowodzi on w nim realnego istnienia świata, polemizując z nowo-kantyzmem, który „das Ding an sich" (rzecz samą w sobie) uważa za fikcyę. Hamerling rozbiera prace Kanta i wykazuje, że myśliciel ten sam przyznaje realną egzystencyę nieznanej przyczyny zjawisk, po za świadomością ludzką. Podobnie w trzeciej księdze walczy o realność przyczynowości, zwracając się tu przeciw Kantowi. Pojęcie przyczynowości nie może być apriorystycznem. Cała nauka i wszelkie badanie ludzkie straciłyby podstawę, gdyby przyczynowość była tylko myślą subjektywną. Istnieje ona realnie, lecz zważyć należy, że ściśle wziąwszy, nigdy przyczyną pewnego zjawiska nie jest coś specyalnego, lecz spójnia każdej cząstki z całością. Przyczynowość, to związek wszystkiego z wszystkiem. To współdziałanie wszelkich sił przyrody we wszystkiem, co się dzieje, Paracelsus wyraził temi słowy: „Skoro ktoś spożywa kawałek chleba, kosztuje w nim nieba i ziemi i gwiazd wszystkich."

Dopiero uwagi zebrane pod napisem „teorya bytu," zwłaszcza w ostatnim rozdziale tej księgi („Stufenfolge des Lebens") zapoznają czytelnika z osią poglądów autora i objaśniają mu tytuł dzieła. Hamerling wierzy w ożywienie wszechświata, który według niego jest istotą żyjącą, prawdopodobnie świadomą swego wszechżycia, a w każdej cząstce istoty tej tkwi wiedza w wyższym lub niższym stopniu. Niepodobna określić, gdzie jest granica, dzieląca życie od procesów mechanicznych. Przypuszczamy, że przyciąganie i odpychanie się atomów są zjawiskami mechanicznemi. Lecz kto wie, czy to nie objawy woli wszechświata, lub jego życiowe procesy? Kto wie, czy nie należy procesów mechanicznych wyprowadzać z życia, które istnieje we wszystkiem, tylko rozmaicie ustopniowane co do świadomości? Już Bakon wszelkie rodzaje ruchu tłomaczył jako „passiones i appetitus" materyi, zdolnej do czucia przyjemności i przykrości; podobnie Zöllner całej przyrodzie nieorganicznej przypisuje „chęć i niechęć." Byli badacze, którzy całą naturę nieorganiczną uważali za osad organicznej, powstały ze zmarłych jej części. Nasuwają się tu olbrzymie pokłady mineralne, np. kreda, złożona z resztek organizmów zwierzęcych, lub węgiel, powstały z roślin.

Idąc za wywodami Ewalda Heringa, Hamerling objaśnia zjawisko dziedziczności — *pamięcią komórek*, posiadających pewien stopień życia i świadomości. Występowanie cech dziedzicznych, to reprodukcya pewnych procesów materyi organicznej, w których pewne komórki brały udział przed laty w organizmie rodzicielskim. Niemniej ciekawe są spostrzeżenia o świadomości roślin, występującej zwłaszcza w ich życiu płciowem.

Tu i owdzie w łańcuchu wywodów przebłyskuje poetycki dar Hamerlinga. „Przypatrując się — powiada on — przemianie materyi w człowieku, który codziennie piękne, żywe kształty roślinne i zwierzęce zabija, połyka, na mięso i krew własną przeistacza, pojąć można ciało ludzkie, po-

*) „Atomistik des Willens," Beiträge für Kritik der modernen Erkenntniss. Hamburg, Verlagsanstalt und Druckerei Actiengesellschaft. 1891.

dobnie jak kulę ziemską ze stanowiska geologii, jako całość, w której liczne warstwy życia minionego, najdawniejszych i najnowszych czasów, leżą jedne nad drugiemi. Nieskończona masa zmarłej materyi składa się na to nowe życie. Tak pojęte, kwitnące ciało jest jakby kostnicą, Hadesem pełnym dusz zmarłych."

Poznajmy teraz jego wywody etyczne. Zważywszy, że cała materya żyje jednem, wielkiem wszechobejmującem życiem, człowiek, podobnie jak każda istota, jest nietylko osobnikiem, lecz też częścią całości. *Est aliquid in nobis praeter nos*: jak życie człowieka, tak i wola ludzka nie jest wyłącznie osobistą, czyli, mówiąc słowami Hamerlinga, niema istoty ludzkiej, w której by działał wyłącznie zmysł osobniczy (der Ichsinn) z wykluczeniem powszechnego (der Allsinn). Rozwój jeno i wrodzony stosunek obu tych zmysłów różnym jest u różnych ludzi.

Według Hamerlinga tedy zmysł moralny jest wrodzony, a nie stanowi wyłącznie rezultatu wychowania. Gdyby istniało jedynie poczucie obowiązku, oparte na wychowaniu, bez owej wrodzonej dobrej woli, opartej na przyrodzie samej, społeczeństwo ludzkie nie przetrwałoby ośmiu dni. Oto jak autor zbija materyalistów, którzy instynkt moralny tłomaczą jedynie przyzwyczajeniem: „Wyobraźmy sobie, że Karol Vogt znalazł się w pokoju, w którym leży wiele pieniędzy i kosztowności i że zachodzą stosunki uniemożliwiające odkrycie. A zatem, panie Vogt, dlaczegóż niczego sobie nie przywłaszczasz?" Wszak zmysł moralny jest jedynie przyzwyczajeniem, a cóż zmusza człowieka do obserwowania przykazań, niepopartych wewnętrznem uczuciem? Istnieje mus fizyologiczny pojmowania koloru niebieskiego jako niebieskiego; gdyby musu tego nie było, możnaby sobie bez wyrzutu sumienia pozwolić rzeczy niebieskie brać za czerwone. Podobnie postępowanoby w kwestyach moralnych, gdyby nie istniał ów mus wrodzony, silniejszy, niż rozum źle radzący. Owa wrodzona tendencya nie jest bynajmniej nadprzyrodzoną. Czemużby wola nie miała pozostawać pod wpływem praw przyrodzonych, jak całe życie w przyrodzie? Zmysł moralny jest jedną z sił kształtniczych życia, a rozwinął się z owych dwóch biegunów: bytu i życia osobniczego i powszechnego. Konieczność, która panuje w świecie i wyklucza przypadek, jest identyczna z prawdziwą wolnością, którą wyklucza dowolność. Najswobodniejszy i najbardziej sceptyczny poeta, Byron, wykazał w *Manfredzie* ową potęgę wyrzutów sumienia, niezawisłą od wiary, zapatrywań, charakteru. Wykazał on, że straszliwa potęga sumienia nie jest wynikiem wychowania, lecz najgłębszym rdzeniem istoty i woli naszej. Oto jak Hamerling streszcza pogląd swój na naturę moralności: „W tym, komu danem jest chcieć świadomie, wielki mus przyrody przemienia się na obowiązek." W oryginale Hamerling bezwiednie może nadał myśli tej formę rytmiczną: „Für den, dem es gegeben ist, bewust zu wollen, wird das grosse Müssen der Natur zum Sollen."

Czy wiecie, zapytuje w końcu swego dzieła, z czego świat zginie? Z rozwielmożnienia się owego czynnika rozkładowego, który zwiemy rozumem. To Moloch groźny, wróg śmiertelny serca i wyobraźni, a zatem i życia, opartego przeważnie na tych potęgach świętotwórczych. Rozwijając się bezustannie, ostrym jadem swym przegryzie wreszcie owe delikatne nici, które w nas łączą dwie natury i sprawi, że chęć do życia wyda się śmieszną. Życie ludzkości rozwija się i ginie w ten sam sposób, jak życie człowieka. Punkt szczytowy nie leży na początku, ani u końca jego drogi, lecz na jej środku. Epoka upadku, rozkładu w życiu materyalnem cechuje się zsuszeniem (?), w życiu umysłowem zmniejszeniem się uczucia i wyobraźni, które tworzą życie, podczas gdy rozum ubezdusznia, zabija. Owóż sama dążność, która istotę rozwija i ku punktowi szczytowemu prowadzi, jest też sprężyną jej rozkładu. Oto „ananke" życia. Takim jest przyrodzony przebieg życia świata; tryumf ducha jest jego celem, ale i zakończeniem. Być może, że przyjdą jeszcze nowe świetne okresy w życiu ludzkości. Lecz epoka greko-germańska przeszła już przez punkt szczytowy literatury i sztuki. Dla rozkwitu nowego, twórczego życia umysłowego i artystycznego potrzeba nowego, świeżego materyału ludów.

Królestwo boże, które nastać ma na końcu świata, ów okres złoty, do którego dążyć mamy, oznacza powrót wszelkiego życia na łono ducha. Powrotu tego dokonać może osobnik myślący, niezawiśle od biegu życia ludzkości.

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nieujęci zbrodniarze. — Złe osobniki ośmielone ich powodzeniem. — Potrzeba osłabienia ich wiary. — Sztuczny spór Nenckiego z Kochem. — Niewłaściwe trybunały. — Protest Dunina. — Głosy Baudouina de Courtenay i Karłowicza w sprawie pisowni. — Na gwiazdkę. — Kurszettel jałmużniczy. — Kolumny dworku szlacheckiego. — Noworoczna śmiertelność w prasie. — Kto czyta.

Zniknęli jak kamfora, pozostawiwszy za sobą w powietrzu tylko ohydną, na długo pamiętną woń zbrodni. Prywatne i urzędowe pościgi nic nie wskórały: Pawlak i Wyrostkiewicz umknęli i skryli się ze zwinnością szakalów. Krzywda zabitych i ich rodzin, niezadowolone pragnienia kary na zbójców, możliwość popełnienia z ich strony jeszcze wielu tego rodzaju przestępstw— wszystko to nie wyczerpuje jeszcze szkody, jaką społeczeństwo poniosło przez ich zbrodnię i ucieczkę. Bo pomyślmy tylko, jaką to zachętą dla podobnych nikczemników będzie takie wyśliznięcie się z rąk sprawiedliwości i taka bezkarność! Jeżeli udało się Pawlakowi i Wyrostkiewiczowi, dlaczegóż nie mogłoby się udać innym łotrom? Kolej żelazna zmienia wewnętrzne urządzenie wagonów, ułatwia sposób alarmowania pociągu, ale przysłowie: *est modus in rebus* służy także złodziejom i mordercom, którzy odznaczają się nienajgorszą pomysłowością. Daleko skuteczniejszym od tych wszystkich środków byłoby schwytanie opryszków, któreby ich naśladowców pouczyło o trudności popełnienia zbrodni bezkarnie. Najsilniejszym hamulcem dla osobników złych i zepsutych jest przeświadczenie, że warunki bezpieczeństwa publicznego nie sprzyjają, a w pewnych wypadkach uniemożliwiają im rozbój i grabież. Z tego właśnie wypadku nie wyciągną one dla siebie takiej nauki. Bo chociaż złapany ogrodnik z pod Pniewa i jego kochanka, którzy dopomagali niecnemu przedsięwzięciu, chociaż odzyskano połowę zrabowanych pieniędzy, obaj krwawi bohaterowie uszli pogoni. I może gdzieś te sromotne wydry, przestawszy nurkować, wypłyną na wierzch, zostaną poważnymi obywatelami i nieraz uzyskają potępiający wyrok na potwarców, którzy wyrażą wątpliwość o ich uczciwości. Bo koło Fortuny zna i takie obroty losów ludzkich.

Nikt nie odmawia prasie codziennej wielkich zasług w rozszerzaniu nowych zdobyczy naukowych i w szybkiem zawiadamianiu ogółu o korzyściach, jakie on z nich wyciągnąć może; ale często pospiesznem i stanowczem rozstrzyganiem spraw naukowych wiedzy, przesądzaniem sporów niedojrzałych, przesadą doniesień, wciskaniem swego dyletantyzmu w wyniki badań ścisłych— wyrządza ona wielką szkodę i wprowadza zamęt jarmarczny do dziedziny, która go nie znosi. Takie widowisko mamy właśnie przed oczami z powodu metody Kocha w leczeniu gruźlicy. Profesorowie uniwersytetu berneńskiego, M. Nencki i H. Sahli, pobudzeni wystąpieniem Kocha, ogłosili tymczasowy wynik swych badań nad działaniem peptonów i enzymów przy zastrzyknięciach podskórnych, nasuwając przypuszczenie, że one może kryją się w tajemniczym środku nowej metody. Jeżeli domniemanie to jest słusznem, mielibyśmy znany w dziejach nauki wypadek spotkania się pomysłów naukowych niezależnych, jaki się zdarzył np. między Leibnitzem a Newtonem lub Wallacem a Darwinem. Tymczasem dzienniki odrazu, nie znając substancyi Kocha, zawyrokowały, że właściwym wynalazcą leku gruźlicy jest Nencki, usnuły nawet legendę, że jego asystent przeniósł się do Berlina i zaczął pracować u Kocha, rzuciły lekkomyślne oskarżenie, że ten ostatni zużytkował tajemnicę wykradzioną koledze berneńskiemu itd.— słowem, dwu badaczów zwrócono przeciw sobie z wrogiemi spojrzeniami. Nencki, zapytany przez *Kuryer warszawski*, ukręcił głowę kaczce krótką odpowiedzią: „nikt ode mnie nie wyjechał do Kocha — proszę całej sprawie nie nadawać rozgłosu dziennikarskiego." Na nieszczęście, chcąc koniecznie wytworzyć „cause celebre," wywnioskowano, że Nencki tak mówi przez... skromność, a on mówił przez rozum. Bo naprzód dlaczegożby Koch nie miał również wypróbować działania tych samych substancyj, zwłaszcza że nie jest pierwszym lepszym facetem, ale poważnym i gruntownym badaczem; powtóre, żadna hipoteka nie ubezpiecza pewniej wierzytelności, niż literatura zasługi uczonych. Nie żyjemy przecież w czasach alchemii, okrywających laboratorya tajemnicą, ale w epoce zupełnej jawności, dającej każdemu możność niewątpliwego wylegitymowania się z rezultatów swej pracy. Co zrobił Nencki, a co Koch, to wkrótce będzie najściślej wyjaśnionem, skoro oba przedstawią owoce swych dociekań. Pozostawmy więc tę sprawę im i tym, którzy mogą być ich sędziami i nie zdzierajmy jednemu z głowy wieńca, ażeby nim opasać czoło drugiego. To do nas literatów nie należy, a przedwczesnymi wyrokami możemy tylko wytworzyć sztuczne spory, podniecić uczucia, niemające w takich kwestyach głosu i wzbić tuman kurzu, który tylko zasłoni prawdę i zasypie oczy. To też zasadnym i potrzebnym był protest, a raczej napomnienie, jakie dr. Dunin zamieścił w *Kuryerze warszawskim*. „Samemu prof. Nenckiemu—powiada on— który ma aż nadto tytułu do sławy, nie przyszło nigdy zapewne do głowy ujmować zasługi w tym względzie sławnemu bakteryologowi berlińskiemu. Nic podobnego też nie znajdujemy w artykule prof. Nenckiego, który przypomina jedynie, iż w pracowni jego wykryto toksynę lasecznika gruźliczego, oraz że z ciałem tem rozpoczęto próby na zwierzętach i ludziach. O tem, aby limfa Kocha miała być identyczna z odkrytą w pracowni Nenckiego toksyną, niema żadnej wzmianki, jak również nie podano ani słowa, jakie skutki toksyna ta wywiera. Jakie da wyniki rozbiór limfy Kocha, tego nie wiemy; nieprawdopodobnem jednakże jest, aby Koch używał jedynie toksyny prof. Nenckiego, bo w takim razie nie robiłby z tego tajemnicy, która uczonemu nie przystoi i którąby go tylko skompromitować mogła. Gdyby nawet prof. Koch używał toksyny, o której mowa, to i tak genialna myśl zastosowania jej do celów leczniczych jemu wyłącznie się należy. O doświadczeniach prof. Nenckiego dowiadujemy się dopiero teraz, badania zaś swoje Koch prowadził oddawna i wystąpił z niemi publicznie już na zasadzie dobrze obmyślanych i licznych doświadczeń." Za-

rzut, jakoby Koch zużytkował wynalazek Nenckiego, zdradzony mu tajemnie przez dr. Briegera, nazywa dr. Dunin „oburzającą potwarzą.“ Niestety, w polowaniu na zasługi rozrzuconych po świecie „rodaków“ ustrzeliliśmy już niejednego bąka i zadaliśmy niejedną ranę. „Rodactwo“ stało się w naszych pismach sportem, które nieraz śmieszy, ale nieraz także oburza.

W innej natomiast sprawie pół-naukowej możemy i powinniśmy niezmordowanie pociągać za sznur, jeśli nie wielkiego, to przynajmniej małego dzwonu. Wiadomo, że nasza ortografia jest wieżą Babel. Jedni piszą buty, drudzy — bóty; jedni — smażyć, drudzy — smarzyć; jedni — blizko, drudzy — blisko itd. Ale największy zamęt panuje w wyrazach, zakończonych na *ia*, lub *ya*, lub *yja*, lub *ja*. Zwolennicy rozmaitych zasad kłócą się, radzą, cierpią, piszą artykuły i broszury, do żadnego wszakże porozumienia się dojść nie mogą. Miano nadzieję, że krakowska Akademia umiejętności rozetnie mieczem ten węzeł gordyjski, ale ta Pytya, obawiająca się narazić swojej powagi, zachowuje milczenie niemej wyroczni. Proszono ją, szturgano, ośmieszano, pobudzano, palono pod nią słomiany ogień — daremnie. Potrzeba jednak ujednostajnienia naszej pisowni nie ucichła, a nawet znowu odezwała się z większą mocą. Dwaj gruntowni znawcy polszczyzny, prof. uniwersytetu dorpackiego J. Baudouin de Courtenay i J. Karłowicz wydali świeżo dwie broszury (pierwszy: „Jedna z kwestyj spornych pisowni polskiej,“ drugi: „Niezałatwiona kwestia, kwestya, kwestyja, kwestja ortograficzna“), dotyczące głównego kamienia obrazy. Oba przemawiają za prawem mowy żywej do określenia postaci jej dźwięków wyrażanych w piśmie, a więc za *ja*, *je*, (zamiast *ia*, *ya*, *yja* itd.). To znaczy: Francja, Kurjer, a nie Francya, Francyja, Kuryer, Kuryjer. Jak wiadomo, używamy w *Prawdzie—ya*, *ia* (np. mania), gotowiśmy wszakże przyjąć zmianę proponowaną, skoro tylko raz przejdzie przez jakąś instancyę uznaną i rozpowszechni się dostatecznie. Zachowywany dotąd zwyczaj nie stanowi dla nas żadnej świętości, gdyż wogóle całą pisownię uważamy za rzecz umowy, a nie za wytwór nauki ścisłej. Niech będzie jakakolwiek, aby tylko zbyt nie odbiegała od dźwięków istotnie brzmiących w ustach ogółu i nie zamykała się w jednej sekcie gramatycznej. Wnioski obu wspomnianych autorów należycie uzględniają warunek pierwszy, od zgody społeczeństwa zależy spełnienie drugiego. Rzeczywiście wymawiamy: kwestja, nie zaś: kwestya lub kwestyja, Marjan, nie zaś: Maryan lub Maryjan itp. Częstokroć wyrażane obawy, że *j* postawiona przy spółgłoskach powinno je miękczyć (np. Kurjer powinno się zamienić na *Kurier*), zarówno Baudouin, jak Karłowicz wyszydzili zasadnie, „pisownia bowiem nie wywierała i nigdy wywierać nie będzie na język wpływu.“

Nadchodząca „gwiazdka“ wywołuje doroczne zbiorowe serc miłosiernych na korzyść wszelakiej biedy. Podawane w *Kuryerach* cyfry tej litości, wyrażonej w rublach, są niezmiernie pouczające. Odbija się w nich bowiem i wspaniałomyślność, i hojność, i próżność, i... skąpstwo. Z tego filantropijnego kurszettlu każdy zwykły śmiertelnik może sobie obrachować swój obowiązek jałmużniczy. Tak np. jeżeli hrabia, posiadający majątku 30 milionów rubli, a procentów i rent $1\frac{1}{2}$ miliona, daje na „gwiazdkę“ rs. 25 czyli $\frac{1}{60000}$ dochodu, to ty czytelniku, pobierający np. 1,000 rs. rocznej pensyi, powinieneś dać stosunkowo $1\frac{1}{2}$ kop. Zwykle wszakże tak się nie dzieje, z pewnością ku wielkiemu zgorszeniu owych milionerów, którzy w zbyt szczodrych datkach biedaków na rzecz biedniejszych upatrują naruszenie harmonii społecznej. Znam pewnego dziwaka, który opodatkował się dobrowolnie dla nędzy 5 procentem od swego dochodu. Otóż gdyby chcieli go naśladować bogacze, wówczas popłynąłby taki potok ofiar, że pensyonarze Towarzystwa Dobroczynności, jeżeli nie sprawiliby sobie wspólnej karety, to przynajmniej mieliby w swych izbach tyle powietrza, ile go przeciętnie potrzebują płuca. Rozumna wszakże ekonomia powstrzymuje ten wylew miłosierdzia i ten zbytek. Nadto od czasu, jak baron Hirsch dał kilkanaście milionów na rozmaite cele dobroczynne, zbyt hojna ofiarność nie należy do dobrego tonu i stanowczo trąci żydowszczyzną. Dobrym tonem w pierwszym stopniu jest francuski, który, według naszego pojmowania, polega na szyku, obcej mowie i kosztowych utrzymankach, w drugim — angielski, wymagający karcianego hazardu, pełnokrwistych koni i landlordyzmu. Zważmy więc, gdyby nasi panowie szczodrze wspierali ubóstwo, nietylko musieliby się wyrzec kultury francuskiej, ale nawet mądrej polityki angielskiej, zalecającej, ażeby społeczeństwo podobnem było do garnituru chińskich jajek, z których każde mieści w sobie mnóstwo mniejszych.

Kilku naszych tytanów rodowo-pieniężnych podpierało swemi barkami stary dworek szlachecki, zwany *Biblioteką warszawską*. Nareszcie zmógł ich ten straszny ciężar, wezwali więc innych, ażeby stanęli jako kolumny tego muzealnego przybytku. Podobno ci inni mają go przerobić, odnowić, przewietrzyć i według nowej mody umeblować. Niedługo zapewne zobaczymy tę restauracyę, tymczasem wypiszmy zaszczytne świadectwo spełnionych zasług ludziom, którzy rozporządzając milionami, uczuli brak sił do podtrzymania miesięcznika. Jeden folblut więcej kosztuje.

Zwykli śmiertelnicy naśladują bogów. Jeżeli ofiarność naszych lordów dla literatury ogranicza się do prenumeraty *Figara* lub *Puncha*, to dlaczegóżby szara masa nie miała poprzestawać na najtańszych kalendarzach! Nie powinny też nas zdziwić, jeśli się sprawdzą pogłoski, że znowu kilka pism peryodycznych nie ujrzy nowego roku. Śmiertelność ta od pewnego czasu powtarza się stale i niema żadnej dobrej racyi do ustąpienia. Chłop nie czyta, bo nie umie, obywatel wiejski nie czyta, bo oszczędza, drobno i wielko-mieszczanin nie czyta, bo niema czasu w pogoni za interesem, arystokracya nie czyta, bo oddawna wie, od kogo pochodzi, skądby ta wziąć prenumeratorów? Dostarczają ich odłamki rozmaitych klas społecznych, wreszcie ta mgławica świetlna, która się rozpościera po naszym firmamencie bez nazwiska, bez określonej formy, bez własnych osi obrotowych. Większość stawia nauce i głupocie, sztuce i tandecie moralności i niemoralności jedno tylko pytanie: jak zrobić pieniądze? Kto umie na to odpowiedzieć, niech szepcze, niech mówi, niech krzyczy, wszyscy go będą słuchać, podziwiać, oklaskiwać, no, i opłacać. Inni, którzy prawią o ideałach, wiedzy, cnotach, kulturze itd., niech milczą, a przynajmniej niech się nie skarżą na obojętność, na nieuznanie, na całą tę puszczę, w której głos ich rozchodzi się bez echa. Tak być musi, bo tak jest.

Poseł Prawdy.

ZDALA.

Reforma miejska.—Dążności naftowców kaukazkich.—Bank włościański w oświetleniu *Ruskich Wiedomosti*.—Inspektorzy agronomiczni. — Radykalizm p. Jelskiego.

Opinia publiczna w Rosyi, rozbudzona całym szeregiem już dokonanych reform społecznych, zajęła się z kolei reformą miejską i usiłuje sobie wyjaśnić warunki jej urzeczywistnienia oraz wynaleźć formę najodpowiedniejszą, w którą ona prawdopodobnie się wyleje. Teraz więc prasa stara się uświadomić sobie braki Ustawy miejskiej z r. 1870 i wskazać sposoby ich usunięcia. Bodźcem ku temu było odwołanie się ministra spraw wewnętrznych przez gubernatorów — do osób „świadomych“ spraw administracyi i gospodarki miejskiej. W tym celu rozesłano naczelnikom gubernij (w początkach lipca r. b.) szematy, które do października roku przyszłego mają być wypełnione odnośnemi uwagami. To *votum* zaufania sfer rządzących do opinii ogółu przez prasę przyjęte było jaknajsympatyczniej. Posypała się cała litania uwag i projektów. Jest nadzieja, że do jesieni roku przyszłego urośnie z nich cała literatura przedmiotu, która posłuży za materyał dla prawodawcy. Lecz ciekawszą niż ilość, jest jakość tych sądów i projektów — odgłos interesów pewnych grup społecznych, które w nich dźwięczą. Wybierzmy niektóre z nich, najznamienniejsze. Największą wadą Ustawy miejskiej z r. 1870 jest system wyborczy przyjęty przez nią. On to, zdaniem prasy ruskiej, jest jedną z głównych przyczyn wadliwości zarządu miejskiego, on to sprawia, że potrzeby klas niezamożnych czyli większości ludności miejskiej nie są uwzględniane przez mniejszość zamożną. Prasa ruska utrzymuje, że działacze miejscy częstokroć utożsamiają ogólno-miejskie interesy ze swoją egoistyczną korzyścią (*Wilensk. Wied.*), że zabiegi rad miejskich *(dum)* ograniczają się tylko do upiększania śródkowych części miasta, podczas gdy ubogie dzielnice i przedmieścia pozbawione są wszelkich wygód i ulepszeń, do których mają prawo (*Odesk. Listok*), że tak ważne sprawy, jak zdrowie ludu, jego wykształcenie i dobrobyt spotykają obojętność u pp. radców i są zbywane groszowymi kosztami (*Besarab. Wiest.*). Taki stan rzeczy wynika z tego, że w radach miejskich rej wodzą kupcy z przemysłowcami, a inteligencya (czy tylko to?), jak twierdzą *Ruskija Wiedomosti*, w zarządzie miejskim jest prawie zupełnie wyłączona. Przewagę zaś w municypalnościach żywiołów kupiecko-przemysłowych warunkuje Ustawa miejska, która prawo głosu w wyborach do rad przyznaje tylko opłacającym bezpośrednie podatki miejskie, a zatem właścicielom domów, kupcom i przemysłowcom. Łącznie z *censusem* majątkowym dopomaga temu podział wyborców na kategorye, stosownie do ciężarów miejskich, które oni ponoszą. Dzieje się więc tak, że np. w radzie (dumie) wileńskiej $\frac{1}{3}$ jej składu wypełnia 70 wyborców 1-ej kategoryi, $\frac{1}{3}$ — 250 2-ej kategoryi, resztę zaś pozostała część wyborców 3-ej kategoryi, liczącej do $2\frac{1}{2}$ tysięcy wyborców! „Mając na względzie — wnioskuje z tego *Wilenskij Wiestnik* — że wyborcy 1-ej kategoryi składają się z osób, swojem stanowiskiem społeczno-ekonomicznem najbardziej wpływowych, że wyborcy 3-ej kategoryi w olbrzymiej większości zupełnie są zależni ekonomicznie od tamtej, przyjdziemy do przekonania, iż zarząd miejski całkowicie znajduje się w ręku nielicznej garstki wyborców 1-ej kategoryi, wynoszącej kilkadziesiąt ludzi.“ To samo dzieje się według doniesień ruskiej prasy prowincyonalnej w wielu innych miastach państwa (w Kiszyniowie, Saratowie, Samarze itd.).

Jakież środki podsuwa prasa sferom prawodawczym, dla usunięcia tego zła? Nie będę wyliczał tych, które, jak np. „miejscowi działacze społeczni“ w Saratowie, a raczej właściciele domów, nacechowane są interesem ich klasy i dążą do ograniczenia prawa wyborczego; zatrzymać się wolę na projekcie ich towarzysza, członka rady miejskiej — p. Epifanowa. Projekt ten dzieli wyborców na *kategorye stanowe*, czyli właściwiej, na grupy ludzi *jednakowych zajęć i interesów* i z jednostek posiadających pewny umysłowy i służbowy cenz, pragnie stworzyć oddzielne kolegium wyborcze. Weszłyby tutaj osoby, które otrzymały wykształcenie średnie, przemieszkały w mieście niemniej nad lat 10, lekarze liczący 10 lat praktyki. Mogłyby tu wejść i osoby in-

nych zawodów, jeśliby tego wymagała konieczność (?). Dla większej rękojmi przedstawicielstwa osób, mających census umysłowy, dla uniknięcia nadwyrężenia liczebnego ich stosunku do przedstawicieli innych grup — autor projektu zastrzega, iż grupa wyborcza, oparta na cenzie wykształcenia, radców może wybierać jedynie wewnątrz siebie samej. Jaka z tych rad i sądów wykluje się rzeczywista nowa ustawa miejska — przyszłość pokaże.

Prąd monopolowy, ujawniający się w syndykatach przedsiębiorców, powoli zaczyna ogarniać i produkcyę w Rosyi. Po kartelu cukrowników, który już należycie utrwalił się i w sprawie zwiększenia dywidendy dla stowarzyszonych kosztem spożywców położył niemałe zasługi — przychodzi kolej na kartel naftowy. Jest on jeszcze w fazie życzeń, dość energicznie przez organ przemysłowców naftowych *Kaspij* — wyrażanych. Naturalnie, że tę dążność naftowników *Kaspij* usiłuje przedstawić z najlepszej strony: zjednoczenie przedsiębiorców ma na celu tylko zniżenie kosztów wytwarzania. „Syndykat może zaprowadzić swoję własną flotę i w ten sposób znacznie zmniejszyć koszty przewozu za granicę; zagranicą może usadowić swoich agentów i organizować tam bezpośredni handel swoją naftą, nie przepłacając, jak dotąd, usług zagranicznych komisyonerów.“ Nie ulega wątpliwości, że syndykat naftowy zaoszczędzi przedsiębiorcom kosztów, ale zachodzi pytanie, czy wobec tego, co praktyka kartelowa za granicą (w Niemczech i Stanach Zjednoczonych) stwierdza, nie ucierpią na tem interesy spożywców? W polemice z *Kaspijem* biorą w obronę *Rus. Wied.* — tych ostatnich. Wyrażają one bardzo słuszną obawę, że syndykat, dążąc do zapewnienia nafcie kaukazkiej rynków zewnętrznych, dzięki opiece cel na naftę zagraniczną, pognębi rynek wewnętrzny cenami monopolistycznemi. Otóż, żeby syndykat naftowy mógł urzeczywistnić swój główny cel: zmniejszenie kosztów produkcyi, nie zrządzając równocześnie szkód spożywcom, potrzeba znieść cło protekcyjne i pozwolić zagranicznemu współzawodnictwu być rękojmią istotnego udziału publiczności w owocach syndykatu.

Bank włościański coraz bardziej rozczarowywa jego dawniejszych miłośników. Z każdym rokiem sprawozdania z jego czynności zaznaczają wzrastające zwężanie się jego operacyj, graniczące w niektórych guberniach z zupełnem ich zawieszeniem. W r. 1889 np. w gub. kazańskiej i niżegrodzkiej udzielono tylko *dwie* pożyczki, w włodzimierskiej — tylko *jedną*, w taurydzkiej zaś i stauropolskiej — niewydano żadnej! Do tego dodać należy ciągły wzrost niedoborów, prowadzących za sobą przechodzenie ziemi nabytej przez włościan na własność samego banku, który obecnie jest posiadaczem 84,789 des. takiego gruntu. Te i wiele innych faktów dowodzą jasno, że bank włościański zostawił daleko po za sobą swój pierwotny cel: dopomaganie wzrostowi własności drobnej, a stał się zwykłą instytucyą kredytową, udzielającą pożyczki każdemu, kto miał dostateczną rękojmię hypoteczną. Żeby przyczynę tego zboczenia należycie wyjaśnić, potrzeba sobie uprzytomnić warunki, w których projekt Banku był rozważany w sferach prawodawczych. „Był to czas, powiadają *Ruskija Wiedomosti*, szerokiego upowszechnienia się w ludzie nadziei i ogólnego podziału gruntów — nadziei tak upartej, że dla rozproszenia jej potrzeba było nie tylko uroczystego oświadczenia ministra spraw wewnętrznych, lecz nawet powagi Najwyższej władzy. Łącznie z tem i w społeczeństwie sprawa małorolności włościańskiej, zapewne w związku z wieściami krążącemi śród ludu — wywoływała obawę. Równie w prasie, jak i w zebraniach towarzyskich wyrażano myśl, że ta sprawa jest nalecialością zewnątrz i niema u nas odpowiedniego gruntu; podejrzewano nawet, że poruszono ich w złej intencyi dla interesów klasy rolniczej (wielkich posiadaczy).“ Wobec tego wszystkiego Bank włościański nie mógł otrzymać cech instytucyi państwowej, dążącej jedynie do usunięcia bezrolności. Nastrój chwili znakomity wywarł wpływ na prawodawcę i kazał mu nadać taki charakter instytucyi, któryby oddalał wszelką myśl jakiegokolwiek jej związku z żywionemi przez lud nadziejami... Dlatego też w warunkach pomocy rządu dla ludności małorolnej starano się unikać najmniejszej wzmianki o *nadaniu*, o możliwości zmiany w drodze prawodawczej ustalonego i uprawnionego ustroju stosunków własnościowych... Zadanie banku jak opiewa ustawa z r. 1882, polegać ma tylko na ułatwieniu włościanom wszelkich kategoryj nabycia ziemi w tych razach; gdy posiadacze *zechcą* sprzedać, a włościanie nabyć.

Dziś okoliczności, które towarzyszyły powstaniu ustawy banku, nie istnieją już: wieści, które wówczas krążyły śród ludu, cofnęły się w dziedzinę tradycyi. „Dlatego też — wnioskują *Rusk. Wiedomosti* — sądzimy, iż nadszedł czas, kiedy z zupełnym spokojem można by przystąpić do rewizyi ustawy z r. 1882 i uczynić ją odpowiedniejszą dla potrzeb ludu.“

Inspektorzy agronomiczni, wprowadzeni rodzajem próby w niektórych miejscowościach Cesarstwa, mianowicie w guberniach permskiej, wiackiej, nowogrodzkiej, chersońskiej i w powiecie razkim gubernii moskiewskiej, okazali się pożytecznymi dla rolnictwa. Równie z ich własnych sprawozdań, jak też ze wzmianek o ich działalności, otrzymanych z prowincyi, rośnie przekonanie o potrzebie stopniowego wprowadzania tego urzędu w całem państwie. Im to zawdzięczać może władza centralna dokładne dane o stanie rolnictwa i środkach dopomagających jego wzrostowi. Już z samej instrukcyi inspektorów widać, jak wielką korzyść mogą one przynosić gospodarstwu wiejskiemu. Obowiązkiem ich jest: zapobieganie pojawianiu się szkodliwych owadów zbożowych, oraz tępienie ich, prowadzenie stałych obserwacyj entomologicznych, zbieranie danych statystycznych o uprawie roli, hodowli bydła i przemysłu drobnego (kustarnego), upowszechnianie śród włościan i wogóle rolników ulepszonych nasion, narzędzi rolniczych i maszyn.

Panu Jelskiemu dawno już należy się ode mnie uznanie za jego projekt kasy emerytalnej dla oficyalistów wiejskich. Sprawę tę w swoim czasie już raz podnoszono w Towarzystwie rolniczem mińskiem, ale bez skutku, ponieważ inicyatywę zwalono głównie na barki samych oficyalistów. Projekt p. J. zdradza rzadki u ziemian radykalizm społeczny, bo żąda opodatkowania własności ziemskiej, żeby tym sposobem zgromadzić fundusz na kasę. „Gdyby podatek ten — powiada — stanowił tylko grosz od morga, to w lat kilkanaście ziemiaństwo aniby poczuło nawet ciężaru, dźwigając pierwszorzędną instytucyę w kraju rolniczym. Dobrą jest sprawa odstaw zbożowych, spółka mięsna, starania o drogi, ale to wszystko drobnostki w porównaniu do wzniosłego myślą i płodnego w następstwa społeczno-ekonomiczne projektu emerytalnego.“ Zapewne, ale pomimo całej szlachetności tego głosu, będzie on śród „ziemian“ rozbrzmiewać, jak śród pustyni, strasząc swoją radykalnością.

Z. Atanazy.

UNIKAT LITERACKI.

III.

Dotychczas błędnie mniemałem, a winni temu starsi mistrze, którzy p. A. Głowackiego poprzedzili i nie znali, że cała wiedza nasza dzieli się bardzo wyraźną granicą na dwie sfery: teoretyczną i praktyczną. W pierwszej z nich umysł ludzki bada tylko byt (jak mówi Wundt — zajmuje „stanowisko wyjaśniające“), w drugiej — porządkuje go według swych potrzeb i celów („stanowisko normujące“); w pierwszej chodzi mu o *poznanie*, co, jak i dlaczego *jest*, w drugiej — o *wskazanie*, co, jak i dlaczego czynić *należy*. Tak np. lingwista bada zjawiska i prawa mowy, nie pomijając nawet jej skażeń i zwyrodnień, oraz nie wprowadzając do niej żadnych poprawek; gramatyk zaś uczy obowiązujących reguł języka. Jeżeli chemikowi przyniesiecie próbkę ziemi z waszego pola, to on wam tylko przedstawi jej skład, a dopiero agronom poradzi, jak ją uprawiać trzeba. Również socyologia bada zjawiska i prawa społeczne, a polityka (w znaczeniu Aristotelesowskiem) wytwarza je w rolach użyteczności jednostkowej i zbiorowej. Ponieważ pojmowanie tej użyteczności bywa rozmaitem, bo zależnem od całego na świat poglądu osobnika lub grupy, przeto systemy reguł postępowania bywają odmienne: liberalne, konserwatywne, klerykalne, socyalistyczne, arystokratyczne. W każdym razie wszelki program społeczny należy do dziedziny praktycznej i stanowi ogólne wyrażenie tych dążeń, zadań i celów, które w danej chwili (według jego autorów) zapewnić mogą społeczeństwu największą sumę dobra. Tak sądziłem dawniej. Ale oto wystąpił człowiek, który niby orzeł wzbił się po nad szczyty „imponujące tylko frazeologom,“ który "odkrył" program z trzema gwiazdami i oświadczył: „Hasła rozmaitych partyj... są to maski, po za któremi ukrywają się bądź nierozumienie życia i jego praw, bądź interesy jakiejś klasy, bądź blaga i karyera osobista, a niekiedy nawet nienawiść (zwracam uwagę na tę krótkość i węzłowatość). Hasła partyjne... nie mogą imponować *takim* ludziom, którzy *pojmują*: czem jest człowiek, czem człowieczeństwo i jakie są ich dążenia.“ Jednym z takich ludzi, a może jedynym, przynajmniej u nas, jest naturalnie p. A. Głowacki. Podczas kiedy my ślepi wpatrywaliśmy się w społeczeństwo, nic nie widząc, on w niem dojrzał program. Ostatecznie jaką zasadę praktyczną stawia ten jego program? Trzeba utkwić wzrok w trzy gwiazdy: użyteczność, szczęście i doskonałość, a resztę bierz licho. Bo powiada szan. apostoł: „*Mnie nie obchodzi*, w jaki sposób urządzi się własność rolna... mnie chodzi o to, ażeby ziemia wydawała jak najwięcej płodów i ażeby uprawiający ją, byli zadowoleni i oświeceni. *Wszystko mi jedno*, kto rozwiąże kwestyę proletaryatu... mnie chodzi o to, ażeby wśród pozornego przepychu cywilizacyi europejskiej nie było ludzi biedniejszych i dzikszych anizeli zwierzęta... *Nie troszczę się* ani o uniwersytety dla kobiet, ani o prawo wyborcze, ale o to, ażeby w *jakikolwiek* sposób usunięto te krzywdy, które dziś ciążą nad kobietami, wyciskają im łzy i druzgocą życie.“ Poznajecie chyba w tych dumnych słowach język bogów, którzy również mówili do ludzi: wszystko nam jedno, w jaki sposób spełnicie swoje przeznaczenie, abyście je tylko spełnili. Wobec takiego "programu" pozostaje nam tylko życzyć p. Głowackiemu długowieczności Buddy, która by mu pozwoliła przez setki lat oglądać kolejno plony roboty, konserwatystów, liberałów, socyalistów, ultramontanów itd., a zarazem wyrokować, które z nich odpowiadają jego pojmowaniu użyteczności, szczęścia i doskonałości, lub też w potrzebie czekać jeszcze na próby rozwiązania zagadnień społecznych żywiołów nowych, dotąd nam nieznanych. On bowiem może i chce być najwyższym ekspertem prac i sędzią sporów partyjnych. Ale zapewne czytelnik spyta: jeżeli p. Głowackiemu „wszystko jedno, kto rozwiąże kwestyę proletaryatu,“ jeżeli go "nie obchodzi, w jaki sposób urządzi się własność" itd., to dlaczego przypisuje sobie zasługę uczestnictwa w powstaniu tylu instytucyj i dlaczego

wogóle miesza się do rozpraw społecznych? Przecież doraźne rezultaty naszych dążeń i sporów wcale go „nie obchodzą“? Jestem za świeżym uczniem tego mistrza, ażebym ważył się na rozwikłanie tej sprzeczności, zwłaszcza, że jedną z największych jego potęg jest „logika.“

Przyznajcie, iż tytan tej miary miał prawo w odpowiedzi na moją uwagę, że nie zwykł zapalać się do wielkich ludzi, odrzec: *Don Juan* Mozarta? Taka „wyżyna jest tylko *pagórkiem* wobec np. całej muzyki, jest *kretowiskiem* wobec całego królestwa sztuk pięknych, a *ziarnem piasku* w ogromie całej ludzkiej działalności.“ A czemże jest w tym ogromie matematyka — statystyka — logika — socyologia p. Głowackiego i wszystkie jego dzieła, których rozsławieniu poświęcił ośm odcinków *Kuryera* i jeszcze poświęci tyleż? Nieważkim atomem? O nie — Montblankiem. A nie sądźcie, żebyście już byli na szczycie tej wielkiej góry.

Ośmieliłem się zaznaczyć, że „może najsłabszą stroną p. Gł. jest plan, układ, kompozycya, zwłaszcza o skali większej.“ Ta skromna uwaga otworzyła na mnie upust „przyzwoitości tego pana“ całkiem zasłużonej. Bo wprawdzie takie uwagi robiono Goethemu za *Fausta*, Mickiewiczowi za *Dziady* i innym „ziarnom piasku“ literackiego, nie wywołując z ich strony krzyku na „dyskredytowanie wobec publiczności, a nawet wydawców,“ ale ja mój grzech popełniłem w „wyjątkowych warunkach.“ Bo proszę sobie wyobrazić, że p. Gł. z początku pisał „instynktownie,“ potem, kiedy go dręczyła nieznajomość prawideł tworzenia, „począł rozpytywać starszych autorów,“ „czytać podręczniki do kompozycyi,“ wreszcie „zdesperowany wziął się sam do rozstrzygnięcia kwestyi czy twórczość literacką można ująć w jakieś prawidło? Po kilku latach spostrzeżeń i rozmyślań — powiada — kwestya zaczęła mi się rozjaśniać, a już w sierpniu 1886 r. (jak to dobrze, że mamy tak ścisłą datę) porobiłem pierwsze notatki. Dziś samych wniosków, twierdzeń i zagadnień z tej dziedziny mam przeszło 80 arkuszy, niektóre części *metody* wypróbowałem praktycznie i, jeżeli mi Bóg pozwoli, mam nadzieję wydać naukowo opracowaną teoryę twórczości literackiej. Przypuszczam, że znajdą się w niej rzeczy dość *nowe*. Właśnie *trzeba zdarzenia*, że w tych istotnie wyjątkowych warunkach p. Ś. podjął się być moim profesorem kompozycyi.“ Rzeczywiście, co za fatalizm! Wtedy, kiedy p. Gł. ma „przeszło 80 arkuszy teoryi twórczości literackiej,“ ktoś ośmiela się zauważyć, że plan jego powieści jest słaby! Nie, to przechodzi najdalsze granice zuchwalstwa! Wprawdzie można mieć nawet 800 arkuszy teoryi twórczości literackiej i nie umieć napisać zwykłej noweli; wprawdzie ganimy czasem palto krawca, który znajduje się w tych „wyjątkowych warunkach,“ że lepiej od nas zna teoryę kroju i szycia; wprawdzie oceniamy *Don Juana* Mozarta, nie znając ani kontrapunktu, ani harmonii; ale człowiek, który stworzył w naszej literaturze powieściowej epokę, wprowadziwszy do niej nowe pierwiastki myśli i „niesłyszane poglądy,“ który przyczynił się do powstania tuli instytucyj, który ma 80 arkuszowy rękopis o twórczości literackiej — zajmuje wyjątkowo uprzywilejowane stanowisko. Zmierzywszy jego wielkość (o ile słabe moje siły na to pozwalają), jego dumę, a zwłaszcza gniew, sądzę, że wszelka krytyka jego działalności byłaby bluźnierstwem i teraz dopiero rozumiem, dlaczego przed 8 laty, gdy mu zarzuciłem nieznajomość rzeczy w polemice o stosunek oświaty do moralności, zawołał w *Nowinach*: „Jeżeli p. Ś. nie odwoła w *Prawdzie* tego, co mi zarzucał, traktować go zacznę jako nieprzyjaciela... *narodowego postępu*.“ Istotnie, kto wytknie p. Gł. błąd lub nieświadomość, naraża poważnie na niebezpieczeństwo naród. To jak gdyby *L'etat c'est moi!*

Specyalnie zaś p. Gł. widzi we mnie sprawcę zamachów na swoją sławę, a nawet na swój byt literacki. Najniewinniejsza z mojej strony uwaga wprawia go w jakąś gwałtowną pasyę, ogarnia podejrzeniami manii prześladowczej. W rozbiorze jego działalności wypowiedziałem takie zdanie: „Prus ma bardzo krótki wzrok i podobno doznaje zawrotu głowy na wyżynach. Ta właściwość fizyczna odbija się zadziwiająco w jego umyśle. Wszelkie wzniesienie się ponad zwykły poziom zamracza mu myśli ciemną mistyką, na żadnym szczycie nie może on długo wytrzymać i szybko zbiega na niziny, gdzie już nie dusi się rozrzedzonem powietrzem abstrakcyi, lecz oddycha atmosferą zdrowego rozsądku.“ Pisząc te słowa, nie miałem najdalszego zamiaru obrażenia autora, pragnąłem go tylko scharakteryzować. Umysły ludzkie różnią się między sobą nie samym stopniem swych sił, ale też ich naturą. Jedne mają zdolności poruszania się śród pojęć najbardziej oderwanych, inne zaś operują konkretnemi. A jak nikt kozicy górskiej, która zdycha sprowadzona na dolinę, gdyż potrzebuje rozrzedzonego powietrza, nie uważa za niższe lub wyższe zwierzę od konia, oddychającego gęstem powietrzem stepów, tak nikt Shakespeare'a, zatopionego w namiętnościach ludzkich, nie uzna niższym od Hegla, przebywającego w sferze abstrakcyi. Ani też pierwszy nie obraziłby się, gdyby mu powiedziano, że nie potrafi rozprawiać o „fenomenologii ducha,“ ani drugi, że nie umie pisać dramatów. Darwin nie był poetą, ale głębokim myślicielem, a jednakże wyznaje, że filozofia niemiecka sprawiała mu zawrót głowy. Literatura zna wiele genialnych umysłów, które były niezdolne do abstrakcyj, do uogólnień wysokiej potęgi, które jednakże wskazania im tej właściwości nie poczytałyby za zniewagę i nie zachowały się jak ów chłop, co poszedł ze skargą do sądu o to, że go ktoś nazwał sufraganem.

Kto zna metody krytyczne, stosowane obecnie na zachodzie Europy, ten wie, że we wszystkich przeważa pobudzona przez Taine'a dążność do objaśniania autorów zapomocą ludzi, to jest do uzupełniania materyału dowodowego, poczerpniętego z ich dzieł, materyałem z ich organizacyi fizycznej i życia. Czytamy też często o ich nałogach, słabostkach, wybrykach, ułomnościach, kalectwach, kochankach, długach itd. W tym lub innym wypadku taka analiza wpływów działających na pisarza może być dlań przykra, a nawet często obrażliwa i gorsząca, ale zasada jej, o ile strzeże się nadużyć, pozostaje słuszną. Wezmę przykład. Jeden z fizyologów angielskich zrobił spostrzeżenie, że ludzie lubiący tłuszcze posiadają bujną wyobraźnię, nielubiący zaś ich — bardzo ubogą. Gdyby istotnie związek między imaginacyą a tłuszczami został sprawdzony i gdyby ktoś zauważył go w życiu jakiegoś autora, nie ściągnąłby chyba na siebie zarzutu, że zagląda do jego kuchni. Lombroso we wszystkich swoich dziełach wykazuje pokrewieństwo geniuszu z obłędem; czyż powiemy, że on świątynię literatury zamienia na dom obłąkanych i znieważa jej bohaterów? Czy biograf J. Paula, zaznaczając, że ten znakomity humorysta zbierał po drogach i ulicach stare żelaztwo, którego olbrzymią kupę znaleziono po jego śmierci w mieszkaniu, chciał mu tym szczegółem ubliżyć? Określając umysł Prusa, nie wydobywałem, jak krytycy francuscy, żadnych tajemnic jego życia, nawet żadnych tłuszczów lub żelaztwa, wzmiankowałem tylko bez żadnej przygany o jego krótkim wzroku i niezdolności do abstrakcyi. Cóż w tem było tak zdrożnego, że on aż skierował na mnie złew swoich wymysłów? Gdybym kogutowi powiedział, że jest bardzo ładnym ptakiem, choć nie umie jak jastrząb wysoko wzlatywać, a on wskoczyłby na płot i zapiał dumnie: „Szanowny panie! z pewnością ja są wyżyny, na których panu nigdy nie zakręciło się w głowie, poprostu dlatego tylko, że nigdy tam nie byłeś,“ rozumiałbym, bo naprzód mogłem istotnie nigdy na ten płot nie włazić, powtóre byłby to argument koguta. Ale jeżeli takiem impertynenckiem „ku-ku-ryku“ odpowiada na krytyczną i żadnym kolcem nieraniącą go uwagę pisarz z pretensyą do poważnego myślenia — to należy stanowczo do „niesłyszanych poglądów.“

(D. n.).

A. Ś.

KRONIKA.

„Gubernia chełmska.“

Oddawna już idea „gubernii chełmskiej,“ jako administracyjne formy tak zwanego „Ruskiego Zabuża“ — powtarza się w prasie ruskiej. Życie tej nowej gubernii dać mają skrawki lubelskiej i siedleckiej, t. j., ich powiaty z ludnością rusińską. *Swiet* niedawno donosił o wygotowanym już projekcie tego przekształcenia i o komisyi przy ministeryum spraw wewnętrznych z udziałem warszawskiego, kijowskiego i wileńskiego generał-gubernatorów, dokąd ten projekt ma być wniesiony dla rozpatrzenia. Znaczenie tej reformy *Swiet* tak określa: „Przez stworzenie z rusińskich powiatów nowej gubernii będzie raz na zawsze przerwana łączność z przeszłością... Nawet stanąwszy na gruncie czysto etnograficznym, z konieczności wypadnie przyjść do wniosku, że pozostawianie nadal rusińskich powiatów gubernij lubelskiej i siedleckiej w składzie Królestwa Polskiego będzie anachronizmem, niedającym się należycie uzasadnić. Rdzennie *ruska* ludność, oderwana przez wypadki dziejowe od ogólno-ruskiego życia, znalazła się otoczona żywiołem polsko-łacińskim. Teraz zaś, ze zmianą warunków, gdy ten kraj znów się połączył z Rosyą, gdy ortodoksya wyrugowała unię, gdy wreszcie ludność znowu przejęła się tradycyami ruskiego życia, byłoby nie tylko dziwnem, lecz nawet bezwarunkowo szkodliwem łączyć tych *ruskich ludzi* z ludnością polską i zmuszać ich żyć pod wpływem zupełnie obcych ich duchowi — praw.“ Idzie tu o kodeks Napoleona, uważany przez niektórych za główną przeszkodę do urzeczywistnienia idei gubernii chełmskiej. Ale niesłusznie. Prawo to w sferę stosunków własnościowych ludu rusińskiego przeniknęło najmniej; równie w prawie majątkowem jak i spadkowem — kieruje się on prawem zwyczajowem, i tutaj otwiera się szerokie pole działania dla I-ej części X tomu „Zbioru praw ruskich.“ Kodeks francuski, najbardziej zrosły z wielkimi właścicielami i miastami — tam tylko do pewnego czasu może pozostać. Wyodrębnienie ludności rusińskiej w oddzielnej gubernii, skoro raz położy kres nienormalnemu stanowi rzeczy, zdaniem *Swieta*, będzie przyjęte równie sympatycznie przez rosyan i polaków.

Wystawa środkowo-azyatycka w Moskwie.

Bogactwa środkowo-azyatyckich posiadłości ruskich z każdym dniem ściągają na siebie coraz większą uwagę, nabierają coraz donioślejszego znaczenia dla gospodarczego życia państwa. Bogato uposażona przez klimat prowincya (Turkestan) dwukrotnie już była uwzględnioną przez sfery rządzące: w zakresie stosunków przewozowych — przez ministra komunikacyi, czego owocem jest droga zakaspijska i w sprawie ulepszeń kredytowych — przez p. Wyszniegradzkiego, czego objawem ma być odpowiednia instytucya: bank azyatycki. Obecnie po raz trzeci ściąga ona na siebie uwagę — kupców, fabrykantów i rolników, czego wynikiem jest przygotowywana obecnie w Moskwie wystawa środkowo-azyatycka.

Szczególnie fabrykantów kresowych, a więc i polskich winna ona zainteresować. Zadaniem jej będzie z jednej strony obznajmienie się z surowymi produktami Azyi środkowej, sprowadzanymi dotychczas na mniej dogodnych warunkach z zagranicy, z drugiej — utorowanie drogi do nowego rynku. Według programu wystawy, następujące przedmioty mogą być na niej przedstawione: wyroby tkackie, narzędzia, aparaty, powozy, fortepiany, naczynia metalowe, wyroby nożownicze, tkaniny druciane, lampy, drobne wyroby metalowe oraz platerowane, skóry, pasy do maszyn, wyroby skórzane, rymarskie i galanteryjne, rogowe, papiernicze, szczotkarskie, apteczne, obuwie, kapelusze, rękawiczki itd. Słowem, cały nasz przemysł może na niej się zaprezentować. Z dziedziny rolnictwa: nasiona roślin pastewnych, traw, warzyw, kwiatów itp., chmiel, modele i narzędzia rolnicze i pszczelarskie ulepszone. To też wobec tak świetnych widoków zawiązała się w Warszawie komisya udziału w tej wystawie.

Wydawnictwa gwiazdkowe.

Jak zwykle, najobficiej założyła stół gwiazdkowy dla dzieci księgarnia Gebethnera i Wolffa. Oprócz zeszłorocznych: *Goście ciotki Klotyldy* Molesworthowej, *Dzieci klanu* Heringowej i obszerniejszej powieści *W imię koleżeństwa* B. Porawskiej, widzimy na nim:

Zabawkę, zbiorek wierszyków J. Chęcińskiego i obrazków dla małych dzieci.

Przygody młodych podróżników, zawsze najchciwiej czytane, które opowiedziała M. J. Zaleska, a wyilustrował bardzo ładnie W. Podkowiński.

Opowiadania ciotki Ludmiły o dawnych czasach i ludziach, Teresy Jadwigi, z rycinami J. Maszyńskiego. Jest to w formę opowieści ujęta historya pierwszych wieków naszego społeczeństwa.

Kopalnie króla Salomona (z rysunkami) Ridder Haggarda, należą również do literatnry dziecinnej, rozciekawiającej i wysnutej z wątków fantastycznych.

Podobnież *Opisy i przygody* z podróży po różnych częściach świata W. Anczyca (w wydaniu trzeciem).

Sprawy społeczne. Niższą opłatę za bilety tramwajowe dla młodzieży uczącej się zatwierdzono: I-sza klasa 5, II-ga 3 kop. Taksa obowiązuje w ciągu 10-ciu miesięcy, z wyłączeniem czasu wakacyjnego.

— W Warszawie 2-gi wydział sądu okręgowego skazał zaocznie p. J. K. Potockiego, redaktora *Głosu*, na 3 miesiące więzienia za potwarz w druku i dyfamacyę w artykule Nieborskiego. Sprawę wytoczył mieszkaniec Lublina p. Antoni Plewiński. Sprawa przejdzie do wyższej instancyi.

— W wyższych sferach duchownych uznano za konieczne wprowadzenie w seminaryach wykładu narzeczy syberyjskich w celu krzewienia chrześcijaństwa śród tamtejszej ludności.

— Parcelacya wielkich majątków we wschodnich prowincyach pruskich robi gwałtowne postępy. W powiecie lubawskim nawet ziemstwo kredytowe parceluje majątek rycerski, który nabyć musiało na subhaście.

— We Lwowie na otwartych w dyrekcyi skarbowej 20 wakansów dyetaryuszów z płacą 70 centów dziennie, zgłosiło się stu kandydatów, między którymi kilkunastu z wyższem wykształceniem.

— Krupp fabrykant armat, zakłada w Essen wielki szpital dla robotników chorych na gruźlicę.

Szkoły. Na rzecz biednych uczniów gimnazyum lubelskiego odbyło się widowisko teatralne, z którego otrzymano 164 rs. 60 kop.

— Prof. zwyczajny uniwersytetu warszawskiego, Struve, na mocy postanowienia władzy wyższej pozostał na zajmowanem stanowisku aż do wysługi lat 30-u.

— Ministeryum oświaty zamierza zreformować zupełnie organizacyę szkół elementarnych niemieckich w gub. południowych i południowo-zachodnich.

— Towarzystwo rozpowszechniania wiedzy praktycznej śród kobiet otwiera w Moskwie wykłady buchalteryi. Opłata za całkowity kurs 50 rs.

— Pruski minister oświaty jako najmniejszą normę dla stypendystów prywatnych ustanowił 300 marek rocznie.

— Dr. v. Gautsch, austryacki minister, surowo zakazał przeciążać uczniów domowemi zadaniami piśmiennemi.

Sprawy kolejowe. Budowa kolei z Żytomierza do Berdyczowa jest już zatwierdzoną. Roboty rozpoczną się na wiosnę.

— Zarząd kolei Wiedeńskiej wydał rozporządzenie, aby jadący z pieniędzmi płatnicy, kasyerzy i inni, meldowali się zawsze zawiadowcom stacyi, którzy w kierunku ich drogi będą podawali stosowne zawiadomienia telegraficzne. Nadto, dla płatników wiozących znaczniejsze sumy, wyznaczane będą oddzielne przedziały, do których nikt inny wpuszczonym nie będzie. Takie same rozporządzenie ma być wydane na innych kolejach.

— Urzędnikom kolei Terespolskiej postanowiono wypłacić pensyę na tydzień przed świętami, z powodu nadzwyczajnych wydatków domowych.

Wystawy. Ministeryum dóbr wniosło do Rady państwa ustawę normalną dla wystaw rolniczych. Ogólne wszechrosyjskie odbywać się będą w Moskwie, przynajmniej raz na dziesięć lat. Nadto urządzane będą wystawy specyalne: hodowli bydła, ogrodnictwa, pszelnictwa itd. Wszystkie te wystawy muszą być połączone koniecznie ze zjazdami rolników.

Zdrowie publiczne. Komisya wydelegowana przez Radę warszawskiej dobroczynności publicznej uznała za możliwe dokonać przemiany szpitala zapasowego na specyalny dla chorób zakaźnych, jeżeli zasiłek miejski na koszty utrzymania, podniesiony będzie z rs. 9,250 do 16,280, Magistrat przychylił się do tego. Szpital będzie miał specyalnie urządzony oddział dla chorych na ospę i na tyfus wysypkowy.

— Ponowna epidemia influenzy wzmaga się na Węgrzech.

P. Teodora Krajewska, polka z Warszawy, została asystentką profesora Schiffa w Genewie, gdzie odbyła studya uniwersyteckie.

Bibliografia. *Kalendarz warszawski* (najszczególowszy pod względem informacyjnym).

Zmarli. Arkadyusz Kleczewski we Lwowie; dziennikarz i humorysta. Założyciel i redaktor w ciągu lat kilku *Kuryera Świątecznego* w Warszawie.

— Edmund Znatowicz, w Warszawie. Dziennikarz i literat.

— Goldsmidt, w Paryżu. B. redaktor *Słowa* (ruskiego) i *Znanja*.

— Cezar Frank, muzyk i kompozytor francuski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Z. G. Gram. pols. — Małeckiego, Hist. powsz. Korzona, Logika — Liarda, Lit. powsz. — Scherra. W Bibliot. matem. wydawanej z zapomogi Kasy Mianowskiego znajdzie Pan odpowiednie podręczniki.

N. N. O podręczniku farbiarstwa w naszej literaturze nie wiemy, a co do niemieckiej kompetencya nasza nie wystarcza dla wskazania Panu „najlepszego." Niech się Pan zwróci do *Przeglądu Technicznego*.

Sprostowanie. W odpowiedzi pani Maryi Reginie z poprzedniego numeru zamiast *rodów* czytać należy „*śladów* talentu,"

ODPOWIEDZI ADMINISTRACYI.

Autorom Sprawozdania Czytelni Akademickiej we Lwowie. Gdybyście Panowie byli rzeczywiście „*sapientes*," to byście zapewne zrozumieli, że Administracya *Prawdy*, która Wam przez szereg lat oddaje pismo i jej wydawnictwa — jak przyznał Wasz bibliotekarz w liście z 8 września 89 r. — „za bajecznie nizką cenę," nie może jednocześnie zatrzymywać jakichś 13 rs. 20 k. bez załatwienia obstalunku. Skoro wszakże poważyliście się zakwestyonować naszą rzetelność, oświadczamy: 1) żadnych listów pieniężnych pod wspomnianemi w sprawozdaniu datami nie otrzymaliśmy; 2) natomiast otrzymaliśmy inne i wysłaliśmy żądane w nich książki, które musiały przepaść; 3) pomimo to zwracamy Panom rs. 13 k. 20 z prośbą, ażebyście nas raz na zawsze uwolnili od swoich jakichkolwiek żądań i takiej godnej wdzięczności za naszą — jak powiada wspomniany list „przychylność dla młodzieży."

Panu M. Szw. w Kaliszu. Nie my jesteśmy winni opóźnień w wysyłce *Prawdy*, gdyż Pan nie u nas prenumeruje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Ноября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**